M. B. P. w Łodzi
Biblioteka Miejska Łódź, ul. Andrzeja 14

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 10 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 11 stycznia 1948 r. Nr 2 (131)

W NUMERZE

między innymi:

Witold Jedlicki

KATOLICKIE KONCEPCJE USTROJOWE

Zasadnicza przyczyna kolizji katolicyzmu zarówno z liberalizmem jak i marksizmem tkwi niewątpliwie w koncepcjach człowieka, do których teorie te są przystosowane. O ile u podstaw liberalizmu leży **optymistyczny** pogląd na naturę ludzką, o tyle u źródeł katolickiej koncepcji człowieka odnajdujemy jakąś **zasadniczą sprzeczność.** Katolicyzm zapatruje się na swojego człowieka w zasadzie pesymistycznie (skażenie grzechem pierworodnym), przyjmując jednak możliwość optymistycznego rozwiązania sprawy dzięki interwencji **sił nadprzyrodzonych.** Ta sprzeczność ma swoje doniosłe konsekwencje w katolickich programach ustrojowych. Z wyjątkiem zupełnie specyficznego, bardzo zresztą symptomatycznego głosu Stef. Kisielewskiego (List jubileuszowy do „Dziś i Jutro", o którym poniżej, zasadniczo wszyscy publicyści katoliccy zgodnie przeciwstawiają się zarówno liberalizmowi jak i marksizmowi. „Jeśli obcy nam jest marksizm to obcy jest nam także amerykański kapitalizm, jako produkt materializmu" stwierdza jasno i wyraźnie ks. Piwowarczyk. „Postawa katolicka musi być realna — istniejąca dziś walka dwóch światowych obozów materialistycznych zmusza nas do ustawienia się na pozycji **trzeciej własnej**" konkluduje Wojciech Kętrzyński (linia generalna „Tygodnika Warszawskiego" — „Dziś i Jutro" nr. 45). Podobnych opinii mógłbym zacytować więcej. Próbuje je zsyntetyzować Kętrzyński w swoim artykule „Wokół dyskusji o liberaliźmie" („Dziś i Jutro" nr. 48) „W istocie rzeczy — pisze on — cała filozofia liberalistyczna jest jedną wielką apologią systemu, w którym zwycięża to, co silniejsze, a nie to, co lepsze. Ani gospodarka liberalistyczna nie może być gospodarką sprawiedliwą, ani społeczność rządząca się zasadami liberalizmu nie może być społecznością moralnie zdrową. Odrzucając jednocześnie przeciwny kraniec poglądów — totalizm, katolicyzm głosi własną teorię społeczną, skłaniającą się niewątpliwie ku ustrojowi zorganizowanemu i kierowanemu zgodnie z zasadami chrześcijańskimi, pozostawiającemu jednak jednostce dostatecznie szeroką wolność osobistą, by nie zagłuszać nadprzyrodzonych elementów osobowości ludzkiej". Czyli, po postawieniu liberalizmowi zarzutu niehumanitarności, postuluje się stworzenie ustroju, wynikającego z założeń ontologicznych i etycznych katolicyzmu i przystosowanego do warunków doby obecnej. Jak ma ten ustrój wyglądać, wykazuje to bliżej Jerzy Braun (Państwo Chrześcijańskie — „Tygodnik Warszawski" nr. 45). Braun rozprawia się również z „indywidualizmem", traktującym państwo jako wynik umowy społecznej, i „totalizmem" traktującym państwo jako absolut istniejący objektywnie poza jednostką, i na ich miejsce proponuje koncepcję pośrednią: państwo, jako wynik planów Stwórcy istnieje dla dobra jednostek. Podstawą autorytetu w takim państwie ma być nadprzyrodzone prawo moralne. Program ten pragnie nazwać p. Braun **„unionizmem"** i tym terminem zastąpić używane przez niektórych teoretyków katolickich pojęcia solidaryzmu (jako wynik ludzkich intencji utylitarystycznych, a nie tak jak unionizm planu Bożego) i kooperatywizmu (jako pojęcie zbyt wąskie, ograniczające się jedynie do akceptowanej zresztą przez katolicyzm spółdzielczości). Coś podobnego, jedynie operując bardziej zdefiniowanymi pojęciami, mówi ks. Piwowarczyk („Chrześcijaństwo i współczesność" — Tygodnik Powszechny nr. 43). Zamiast pojęcia unionizmu używa on poprostu pojęcia demokracji, zastrzegając się jedynie, że rozumie przez nie przeciwstawianie się koncepcjom ustrojowym, opartym na podziale klasowym. Również jaśniej wyrażona jest u niego sprawa autorytetu moralnego w takim ustroju: „Demokracja stoi cnotą samoograniczania się tak rządzących, jak i rządzonych, a tę cnotę wychowuje tylko chrześcijaństwo".

Mamy więc do czynienia z jakimś idealnym ustrojem. Zamiast walki klas mamy ich jedność organiczną, zamiast determinant ekonomicznych wiarę, że, nawet pomimo sprzecznych interesów, może nastąpić zgodne współżycie klas antagonistycznych. Tym nie mniej tragedia katolików zaczyna się tam, gdzie trzeba dać odpowiedź na pytanie **o metody realizacji takiego stanu rzeczy.** Ściśle mówiąc odpowiedź jest: interwencja sił nadprzyrodzonych (Braun) lub wychowanie chrześcijańskie (Piwowarczyk).

Jak jednak realizować to konkretnie, jak przekonać ludzi, posiadających sprzeczne interesy ekonomiczne, aby się ich zrzekli dla dobra innych, jakie fakty mogą świadczyć za tym, że wychowaniu chrześcijańskiemu można dać monopol na zrealizowanie takiego stanu rzeczy z pewnym wynikiem, o tym nasi katolicy milczą. Bo odpowiedzią nie jest np. artykuł Jerzego Brauna (Geneza historyczna nowej kultury „Tygodnik Warszawski" nr. 46) w którym próbuje rozwiązać to zagadnienie w taki mniej więcej sposób: postuluje stworzenie nowego typu kultury pracy, który cechować ma 1) dynamizm kulturalno - ekonomiczny, 2) optymizm kreacjonistyczny, 3) ideał personalistyczny, przywracający zwichniętą równowagę między nowoczesną techniką produkcji a osobowością człowieka. „Samorząd społeczno - gospodarczy i kulturalno - oświatowy — pisze Braun — stanowią tę formę, w której dynamizm twórczy inteligencji i mas ludowych mogą się najlepiej przejawić. Rolą państwa jest opieka nad tą twórczością społeczną oraz jej prawne regulowanie, a nie hamowanie przez nadmierną ingerencję administracji". I dalej: „Nie produkcja dla produkcji, dla zysku, dla potęgi, ale dla zaspokojenia potrzeb. Stąd konieczność wychowania ludzi gospodarczo zatrudnionych w moralności i konieczność kontroli państwa nad procesem gospodarczym". To pozorne wyjaśnienie jednak niczego nie wyjaśnia. Jak pogodzić kontrolę państwa ze skasowaniem nadmiernej ingerencji administracji, jakimi metodami wychowawczymi wpajać postulowane przez p. Brauna ideały, aby dało to pewne wyniki, kto ma pilnować tego, aby państwo spełniało te cele jakie mu p. Braun wyznacza, wreszcie w jaki sposób mają się ułożyć właśnie tak, jak sobie tego życzy p. Braun, stosunki produkcyjne, wszystkie te kwestie stoją otworem.

Na tle tych zagadnień przysłowiowym kijem w mrowisku jest dość niespodziewana apoteoza liberalizmu pióra Stefana Kisielewskiego (List Jubileuszowy do „Dziś i Jutro" nr. 47). „Osobiście treść społeczną naszej epoki — pisze Kisielewski — widzę w walce gospodarki państwowej z liberalizmem i **nie dostrzegam praktycznych możliwości, aby w walce tej mógł wziąć udział jakiś trzeci partner.** Katolickie koncepcje społeczne wysuwane przez niektóre grupy katolików nie były dotąd stosowane w praktyce, nie są wypróbowane: wydaje mi się, że do ostrej eliminacyjnej walki, jaka toczy się obecnie na świecie, dopuszczeni będą tylko ci partnerzy, którzy mocno są ugruntowani w konkrecie. A więc raczej Chrześcijańska Partia Liberalna niż Katolicka Partia Przebudowy Społecznej". Ponieważ zaś — rozumuje Kisielewski — jeżeli nawet kapitalizm jest nieodłącznie związany z liberalizmem, to był potępiany przez encykliki papieskie wyłącznie za jego stronę moralną a nie ustrojową i ponieważ liberalizm według Kisielewskiego jest doktryną bardzo bliską katolicyzmowi na skutek wiary w dobre skłonności ludzkie (słusznie bodaj błąd wytyka mu tutaj Kętrzyński, przypominając grzech pierworodny) — dalej ponieważ Kisielewski uważa za nonsensowne tezy, że liberalizm się przeżył i że koniecznym jego następstwem jest kapitalistyczny totalizm, przeto konkluzja jest prosta: „Jeśli mi udowodnicie, że w ustroju rządzącym się gospodarczym liberalizmem człowiekowi pracy powodzi się znacznie gorzej, niż w jakimkolwiek innym ustroju — wtedy rzeczywiście zachwiejecie moje stanowisko. Inaczej nic".

Kisielewski ma niewątpliwie rację w swoim sceptycznym zapatrywaniu się na możliwość zrealizowania katolickiego programu przebudowy społecznej. Tym nie mniej udowodnienie mu, że teza o konsekwencjach, jakie wynikają z liberalizmu (tzn. właśnie kapitalistyczny totalizm) jest jednak sensowna i że w takim ustroju sytuacja człowieka pracy przedstawia się znacznie gorzej, niż w jakimkolwiek innym „uspołecznionym" — nie będzie chyba rzeczą trudną. W każdym bądź razie symptomatyczne u Kisielewskiego jest jedno: **defenzywność pozycji.** Kisielewski widzi **załamywanie się autorytetu i możliwości Kościoła:** dlatego w obronie przed marksizmem, który uważa za siłę najbardziej wrogą katolicyzmowi pragnie **powrócić na pozycję liberalizmu.**

Kisielewski nie jest odosobniony w swoim sceptycznym poglądzie na znaczenie Kościoła. „Nie ma co ukrywać, Europa w wieku XX przestała być chrześcijańską" woła ks. Piwowarczyk (Chrześcijaństwo i współczesność „Tygodnik Powszechny" nr. 43). „Przez świat idzie szeroka fala materializmu i laicyzmu — pisze Jerzy Braun (Polska i humanizm chrześcijański „Tygodnik Warszawski" nr. 44) i dodaje: „Musimy Polskę ochrzcić powtórnie". Różnica polega na tym, że o ile Kisielewski boi się nowych rozwiązań i woli oprzeć się na pozycjach już ustalonych, o tyle Braun jest maksymalistą. Braun stwierdza istnienie związku organicznego łączącego Polskę z Kościołem w przeszłości i kokluduje: „Przyszłość i byt samodzielny Polski da się pomyśleć tylko w łączności w Kościołem i w nieustannym pełnieniu apostolstwa chrześcijańskiego". Braun operuje takimi pojęciami, jak **misja dziejowa i predestynacja Polski do szerzenia chrześcijaństwa, wznoszenia się do ideałów nadprzyrodzonych,** czy wreszcie **syntezy porządku przyrodzonego i nadprzyrodzonego.** P. Braun chętnie powołuje się na mesjanistów i, jak widzimy, wiele zapożycza z tej doktryny. Poezja jednak nie wyklucza prozy. Obok tak wzniosłych haseł mamy również postulaty nieco bardziej konkretne: żądanie rozszerzenia wpływów kleru z życia prywatnego na życie publiczne. (Podobny sens ma zresztą pierwszy z czterech wymienionych przez ks. Piwowarczyka kotolickich postulatów konstytucyjnych („Tygodnik Powszechny" nr. 47), opatrzony przez niego specjalnym komentarzem, opiewającym, że Kościół nie może być traktowany, jako zwyczajne stowarzyszenie obywateli i dlatego ewentualna umowa pomiędzy Państwem a Kościołem musi mieć charakter prawno - publiczny a nie prawno - prywatny). Również nieco bardziej konkretne jest optymistyczne stwierdzenie pewnych faktów np.: „w większości krajów cywilizowanych katolicyzm dochodzi na nowo do głosu. Watykan ma coraz większy autorytet moralny, a nawet wpływ na orientację polityki międzynarodowej". Jak widzimy, sugestia jest wyraźna: jaka niecywilizowana jest ta Polska, że jeszcze rząd nasz nie otrzymuje dyrektyw z kancelarii papieskiej. (Ale czy kancelaria papieska znikąd już nie otrzymuje dyrektyw — bo o tym różnie mówią: Kisielewski nie taki głupi). Jak pogodzić ten brak cywilizacji z misją dziejową i specjalnym przeznaczeniem Polski, pozostanie na zawsze osobistą tajemnicą p. Brauna.

Tym nie mniej sedno prawdy leży gdzie indziej. P. Braun doskonale zdaje sobie sprawę — wynika to jasno i wyraźnie z przytoczonych wyżej cytat — że twórcza rola Kościoła jest w rozkładzie, że trzeba układać taktykę obrony. Jednocześnie p. Braun żąda bardzo dużo, sądzi, że uda mu się uzyskać wszystko czego zapragnie: i wpływ kleru na rządy w Polsce i wpływ Watykanu na politykę międzynarodową. Po poprzednim stwierdzeniu rozpaczliwości sytuacji ten maksymalizm sprawia dziwne wrażenie. Być może, gdyby p. Braun żądał mniej, można byłoby z nim pertraktować. Jednakże takie postawienie sprawy — tu przypominają się gorzkie słowa Kętrzynskiego o atmosferze kapitulacji — świadczą raczej o tym, że głos p. Brauna jest głosem człowieka, który już skapitulował i może teraz powiedzieć wszystko, bo wie, że i tak za to **nie poniesie odpowiedzialności.**

Jeszcze raz uprzytomnijmy sobie charakter tej nieodpowiedzialności. Masy ludowe swoim autorytetem, wysiłkiem i życiem stworzyły w Polsce warunki na państwo bezklasowe. Po dokonaniu tego olbrzymiego dzieła przychodzi p. Braun i w myśl zasady „murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść" żąda władzy dla obozu przez siebie reprezentowanego. Naszym zdaniem, społeczne siły katolicyzmu powinny partycypować w rządzeniu państwem w takim stopniu, w jakim dołożyły się do pracy nad jego społecznymi przemianami i odbudową??? A więc oczekujemy. Jeszcze nie jest za późno.

W 4-tą rocznicę KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ

Nie tylko dla młodzieży w szkołach ale i dla starszego społeczeństwa wydarzenia sprzed pięciu i czterech lat oddaliły się tak, że graniczą niemal z HISTORIĄ.

Ale bo od Deklaracji Krajowej Rady Narodowej dzielą nas: zwycięstwo nad hitlerowskim najeźdźcą, zaludnienie ziem odzyskanych, reforma rolna, upaństwowienie przemysłu i banków, przemiany polityczne, wzrost znaczenia Związków Zawodowych, powstanie Z. S. Ch., przemiany w spółdzielczości, w organizacjach młodzieżowych i życiu kulturalnym, wypełnianie się planu 3 letniego... wielka historia w niewielu latach.

W czwartą rocznicę K.R.N. przypominamy w wyjątkach jej Deklarację uchwaloną w dniu 1.I.1944 r.

Krajowa Rada Narodowa, wyłoniona w dniu 1 stycznia 1944 roku w Warszawie przez demokratyczno - niepodległościowe organizacje polityczne, wojskowe i społeczne — staje przed narodem polskim jako wykonawczyni jego woli, powołana i upoważniona do kierowania jego walką w imię najwyższej zasady: narodowego i państwowego interesu Polski.

Krajowa Rada Narodowa stawia przed sobą jako główne i naczelne zadanie: zjednoczenie i mobilizację wszystkich sił narodu i wszystkich środków do walki na śmierć i życie z bestialskim okupantem w celu wyzwolenia Polski.

Dla osiągnięcia tego celu Krajowa Rada Narodowa:

powołuje do życia Armię Ludową, jako siłę zbrojną narodu, która skupić winna w swych szeregach wszystkich chcących walczyć o niepodległość Ojczyzny.

mianuje Dowództwo Armii Ludowej,

obejmuje władzę zwierzchnią nad siłami zbrojnymi narodu polskiego,

nie spocznie w swej pracy nad organizacją czynu zbrojnego całego narodu aż do chwili wywalczenia wolnej, demokratycznej i suwerennej Polski.

Krajowa Rada Narodowa oświadcza, iż w Polsce wyzwolonej panować musi sprawiedliwość społeczna. Wielkość i moc Ojczyzny oprzeć trzeba na zabezpieczeniu szerokim masom pracującym miast i wsi: robotnikom, chłopom, rzemieślnikom, pracownikom umysłowym i inteligencji — spokojnego i pewnego bytu materialnego, nauki, wolności, pełnych praw demokratycznych i roli gospodarza w odrodzonej Polsce.

Takie zadania postawi Krajowa Rada Narodowa Rządowi Tymczasowemu, który powoła ona w chwili, kiedy wymagać tego będzie interes narodu. Rząd ten sprawować będzie władzę w kraju do czasu wyłonienia w demokratycznych pięcioprzymiotnikowych wyborach Zgromadzenia Ustawodawczego.

Wypełnienie postawionych wyżej zadań Rząd Tymczasowy zabezpieczy m. inn. przez:

wywłaszczenie bez odszkodowania całej ziemi obszarniczej i poniemieckiej w celu przekazania jej chłopom i robotnikom rolnym,

nacjonalizację wielkiego przemysłu, kopalń, banków i transportu, stanowiących podstawę gospodarki narodowej;

w dziedzinie polityki zagranicznej Krajowa Rada Narodowa dążyć będzie do utrzymania przyjaznych stosunków ze wszystkimi narodami sprzymierzonymi w walce z hitleryzmem, co uważa za warunek siły i trwałości państwo Polski oraz dobrobytu jej obywateli. Zasady tej współpracy winny być oparte na:

przywróceniu Polsce wszystkich ziem polskich na zachodzie i północy, które zostały przemocą zgermanizowane;

rozwiązaniu problemów granicznych na wschodzie w drodze przyjaznego porozumienia Polski i ZSRR przy uznaniu prawa narodów do samookreślenia;

jak najszybszym nawiązaniu stosunków trwałej przyjaźni i współpracy Polski ze Związkiem Sowieckim:

oraz przyłączeniu się Polski do paktu zawartego między ZSRR i Czechosłowacją w grudniu 1943 r.:

utrzymaniu i zacieśnieniu węzłów przyjaźni i współpracy z pozostałymi aliantami.

Polacy!

W tych decydujących, historycznych chwilach, w których rozstrzygają się losy Polski, Krajowa Rada Narodowa wzywa wszystkich Polaków w kraju i na emigracji do skupienia się wokół Krajowej Rady Narodowej, do poparcia jej wysiłków i podporządkowania się wszystkim jej zarządzeniom i nakazom. Wzywa wszystkie organizacje demokratyczne i niepodległościowe, zrzeszenia i ugrupowania do współpracy z wojskowymi i cywilnymi organami Krajowej Rady Narodowej.

Jerzy Nofer

CHOROBY — LECZNICTWO — METODY

Głos w dyskusji o zdrowiu na wsi (III)

WIĘCEJ ZGONÓW — MNIEJ CHORÓB?

Umieralność na wsi wynosiła przed ostatnią wojną 16,3 zgonów na 1.000 mieszkańców, podczas gdy dla miast wyrażała się liczbą 12,1 zgonów na 1.000 mieszkańców. Zatem na wsi umierała blisko jedna trzecia więcej ludzi, niż w miastach i przeciętna długość życia chłopa b[illegible] krótsza.

Nie rozporządzamy w tej chwili dokładnymi danymi za okres bieżący. Wolno jednak przyjąć, że obecnie wskaźnik umieralności jest wyższy dla całego kraju, jako skutek wyniszczenia okupacją. Można także spodziewać się większego wzrostu umieralności w miastach niż na wsi, bo miasta ciężej odczuły rękę okupanta. Ale prawdopodobne cyfry z terenu wiejskiego i miejskiego nie zrównały się i wieś ma w dalszym ciągu stosunkowo wyższą liczbę zgonów od miasta, chociaż dziś jeszcze może nie w tak wielkiej rozpiętości jak przed wojną. Co więcej — należy przypuścić, że pojawi się tendencja do spadku umieralności w miastach w następstwie normalizacji warunków życiowych, przy jednocześnie utrzymującym się poziomie umieralności na wsi, jeżeli radykalne posunięcia nie zmienią istniejących stosunków.

Wydawałoby się na pozór, że — skoro ludzie na wsi częściej umierają, — muszą również częściej chorować. Tymczasem pewne dane liczbowe prowadzą do paradoksalnego wniosku, że tak nie jest. Zapadalność na cały szereg schorzeń wśród ludności wiejskiej nie dorównuje zapadalności na te choroby w mieście. Dla gruźlicy, która już przed wojną dawała u nas bodajże największą liczbę zgonów, stosunek chorych ze wsi i z miasta według oceny Łabęckiego wynosił w okresie międzywojennym 2:3, a obecnie, według Telatyckiego przedstawia się nawet jak 1:2 na niekorzyść miasta. Również Grzegorzewski stwierdza: „punkt szczytowy (umieralności na gruźlicę) nie osiąga tam (t. zn. na wsi) tej wysokości, do jakiej dochodzi w dużych miastach". Badania masowe ruchomych kolumn przeciwgruźliczych szwedzkich w Polsce w 1946 r. ustaliły, — podaję za Telatyckim, — dla dzieci w wieku 12 lat odsetek zakażonych prątkiem Kocha na 67 proc. w miastach, gdy na wsi tylko 33 proc.*) Wprawdzie z szeregu względów epidemiologicznych należy się liczyć z możliwością wzrostu zapadalności na gruźlicę na wsi w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat, jednak fakt znacznie mniejszego zagruźliczenia wsi w stosunku do miasta w chwili obecnej nie może, zdaje się, podlegać dyskusji.

Inne choroby zakaźne objęte rejestracją, — a tylko w tych wypadkach posiadamy względnie dokładne informacje, — dają obraz analogiczny. W sprawozdaniu Naczelnego Nadzwyczajnego Komisariatu do Walki z Epidemiami za rok 1946 umieszczono wykresy, z których można w przybliżeniu zorientować się o zapadalności na choroby zakaźne w poszczególnych województwach. Niestety, z miast wyodrębniono jedynie Warszawę i Łódź. Ponieważ Łódź i województwo Łódzkie w porównaniu z innymi mniej ucierpiało na skutek wojny i warunki życiowe nie uległy tutaj zniekształceniu w takim stopniu, jak gdzieindziej, dane z tego terenu można uważać za najlepiej odzwierciadlające stosunki normalne. Otóż błonica w województwie Łódzkim dała w 1946 roku około 9,5 przypadków na 10,000 mieszkańców, gdy w Łodzi 22 przypadki na 10,000 mieszkańców. Płonica w województwie dała około 6 przypadków na 10.000, gdy w Łodzi około 36 przypadków na tę samą liczbę ludności i w tym samym czasie. Dur plamisty dał w województwie około 1,5 zachorowań, gdy w Łodzi 4 — na 10,000 mieszkańców. Dur brzuszny, uchodzący zawsze za chorobę związaną raczej ze złymi warunkami sanitarnymi wsi, dał w 1946 r. taki sam odsetek zachorowań w Łodzi, jak w województwie Łódzkim, ale już w czasie od 1 stycznia 1947 roku do 1 grudnia 47 r. zapadalność na dur brzuszny wynosiła w województwie około 3 przypadków na 10,000 ludności, a w Łodzi około 5 przypadków na 10,000 ludności. Nawet jeżeli uwzględni się niezgłaszanie szeregu chorych zakaźnie na wsi, co powoduje tym samym niemożność statystycznego ich ujęcia, rozpiętość między zapadalnością na wsi i w mieście jest zbyt duża, by dała się wytłumaczyć jedynie błędami rejestracji. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wieś ma istotnie mniej zachorowań na choroby zakazne, niż miasto, co można przypisać niewielkiemu zagęszczeniu ludności **).

Odżywianie się ludności wiejskiej, zarówno podczas okupacji jak i obecnie, nie ustępuje odżywianiu się mieszkańców miast. Z pewnych badań wynikałoby nawet, że jest lepsze. Jednym ze wskaźników stanu odżywienia może być ilość hemoglobiny we krwi. Wskaźnik ten zależy od wielu czynników, jednak niedobory w odżywianiu wyraźnie wpływają w kierunku obniżenia się poziomu hemoglobiny. Seryjne pomiary zawartości we krwi tego barwnika wykonane w bieżącym roku przez Oddział Higieny Pracy Państwowego Zakładu Higieny u dużych liczebnie grup ludności pracującej w Łodzi, oraz u rolników w kilku powiatach woj. Łódzkiego, wykazały znaczną pod tym względem przewagę rolników. Średni poziom hemoglobiny u robotników i pracowników umysłowych wahał się około 12,5 g% u mężczyzn i około 11,5 g% u kobiet. Te cyfry dla wsi wynosiły około 15 g% u mężczyzn i około 13 g% u kobiet. Niedożywienie więc wsi w porównaniu z miastem nie istnieje i nie może wyjaśnić niezrozumiałego pozornie stosunku umieralności.

Z innych schorzeń, co do których statystyka zupełnie milczy, takie, jak choroby serca i układu krążenia, rozmaite schorzenia zwyrodniające, choroby nerwowe itp. — też, jak się wydaje powinny występować częściej w mieście niż na wsi. Typ życia miejskiego (dziedzictwo epoki kapitalistycznej) jest biologicznie bardziej szkodliwy i usposabia szczególnie do tych schorzeń. Poza tym z pewnością jest w mieście więcej nieszczęśliwych wypadków, czy to przy pracy, czy na ulicy. Tymczasem, w rzeczywistości na wsi, chociaż rzadziej chorują, jednak liczniej umierają.

STAN KULTURY HIGIENICZNO-SANITARNEJ NA WSI

Wniosek może być tylko jeden: choroba na wsi kończy się źle w większej liczbie przypadków, niż w mieście. Inaczej, — **z dwuch chorych, kiedy jedno choruje na wsi, a drugi w mieście — ten na wsi ma znacznie mniej szans na wyzdrowienie.** Przyczyny trzeba szukać w niesłychanie prymitywnym stanie sanitarno - higienicznym wsi, oraz w braku takiej opieki i pomocy lekarskiej, jaka jest normalnie do dyspozycji mieszkańca miasta.

Tezę tę można poprzeć jeszcze innymi faktami. Istnieje grupa schorzeń zależnych w pierwszym rzędzie od niedostatecznej kultury higienicznej ludności, — są to wszelkie powikłania wywołane zakażeniem przyrannym. Zakażenie przyranne jest z reguły wynikiem, — mówiąc po prostu, — niechlujstwa. Nie ma statystyki tego schorzenia ani na wsi, ani w mieście. Tym niemniej można się tu posłużyć, jako pewnego rodzaju wskaźnikiem, częstością występowania zakażenia połogowego, którego mechanizm powstawania jest podobny do zakażenia przyrannego. W 1947 r. w Łodzi do grudnia zanotowano jeden przypadek, — kiedy w województwie do października zgłoszono 30 przypadków. Obie te liczby są nieprawdopodobnie niskie, co oczywiście należy położyć na karb wadliwej rejestracji i tendencji do ukrywania tych schorzeń. Jednak wzajemna proporcja rzuca pewne światło na częstość występowania zakażenia połogowego w mieście i na wsi.

Dalszym wskaźnikiem opłakanych warunków sanitarno - higienicznych wsi i braku właściwej opieki lekarskiej, może być śmiertelność niemowląt. Organizm niemowlęcy jest szczególnie wrażliwy na szkodliwe czynniki i każdy błąd higieniczny mści się fatalnie. I w istocie, — jeżeli ogólna umieralność na wsi była przed wojną około 1,2 razy większa od umieralności w miastach, to umieralność dzieci w wieku od 0 — 4 lat na wsi była większa około 1,4 razy od umieralności w takiej samej grupie w miastach. Danych w tej sprawie za powojenny okres nie ma.

Pomijam tutaj porównawcze zestawienie z podobnymi liczbami w innych krajach. Jest rzeczą powszechnie znaną, że porównanie takie wypada dla nas katastrofalnie. Chodzi mi o podkreślenie upośledzenia wsi w stosunku do miast i wykazanie, że zmiana istniejących warunków sanitarno - higienicznych wsi, oraz postawienie do dyspozycji ludności wiejskiej odpowiedniej służby zdrowia z pewnością zmniejszy umieralność tej ludności przynajmniej do poziomu umieralności w ośrodkach miejskich, a najprawdopodobniej, — wziąwszy pod uwagę lepsze warunki biologiczne wsi, — zredukuje ją jeszcze bardziej.

Na stan sanitarno - higieniczny wpłynąć doraźnie nie możemy. Kultura higieniczna jest częścią kultury ogólnej i wraz z nią zależy między innymi od stopnia dobrobytu ludności. Zamożność, kultura i zdrowotność w szerokich warstwach ludności, jak widać to na przykładzie państw zachodnio - europejskich i Związku Radzieckiego, wznoszą się równolegle, pozostając we wzajemnym związku przyczynowym. Wysoka umieralność i zapadalność, zwłaszcza na choroby zakaźne, krótki okres przeciętny życia, — łączą się zawsze z niską stopą życiową i niskim stopniem oświaty. Da się ustalić ścisły współczynnik korelacji między zapadalnością na gruźlicę, a wysokością dochodów w danej grupie ludności. Ktoś słusznie spostrzegł, że na zachodzie „nocna koszula wytępiła wszawicę". Żeby chłop nasz używał częściej mydła, — musi go stać na kupienie go. Mało, — musi jednocześnie zrozumieć konieczność używania mydła i nocnej koszuli, — musi to stać się jego codzienną potrzebą.

Gdy pracowałem w kolumnie epidemicznej, uważałem za swój obowiązek uświadamiać ludność o celach i metodach walki z wszawicą. Efekt był taki, że kiedy przed akcją wieś była zawszona w 90 proc., to po odwszeniu, mimo dokładnych pouczeń w pogadankach i za pomocą rozdawanych broszur, oraz przy bezpłatnym rozdzielaniu mydła, — w miesiąc lub dwa spotykało się wszy z powrotem w 80 — 90 proc. Zresztą wszawica, która jest jednym z najczulszych wskaźników kultury sanitarno - higienicznej ludności, na tamtejszym terenie wahała się wówczas w granicach 60 — 90 proc., z wyjątkiem kilku wsi, wyróżniających się względnie wysokim poziomem kulturalnym. Zależność ta rzucała się po prostu w oczy, gdy z dwóch wsi o ludności ukraińskiej i polskiej, leżących w najbliższym sąsiedztwie i przedzielonych zaledwie rzeką kilkumetrowej szerokości, — wieś ukraińska, o znacznie większym odsetku analfabetów, miała kilkakrotnie wyższe zawszenie, niż wieś polska, przy czym stopień zamożności obu wsi był identyczny. Na cóż może się przydać akcja propagandowa, rozdawnictwo mydła itp., gdy po dłuższym przemówieniu na temat higieny osobistej słyszy się wypowiedziany z najgłębszą wiarą pogląd, że dziecko zdrowe musi mieć wszy, a brak ich jest dowodem choroby, — bo od chorego dziecka wszy uciekają? ***). Jak żądać od ludności, która gremialnie z oburzeniem protestowała, kiedy usuwano kołtun na głowie szesnastoletniej dziewczyny, — a działo się to przecież prawie w połowie XX wieku, — aby zrozumiała sens i potrzebę najelementarniejszych wskazań higienicznych? Gdzie szukać sposobów wykorzenienia niechęci chłopów do leczenia szpitalnego? Przecież na wsi, zabierając chorego, nawet niebezpiecznego dla otoczenia, do szpitala, trzeba stoczyć nieraz małą potyczkę z rodziną. Nie mówiąc już o tym, że są okolice, w których ludzie wolą iść kilkanaście kilometrów do „owczarza", którego tajemnicze praktyki bardziej odpowiadają magicznemu nastawieniu ich postawy życiowej, niż udać się do lekarza, mieszkającego w tej samej wsi.

Zagadnienia te, — sprawa standartu ekonomicznego i kultury, są tak bezpośrednio związane z problemem zdrowotności wsi, że wymagają łącznego traktowania, bez czego nie może być mowy o trwałym postępie w tej dziedzinie. Niestety, wybiegają one daleko poza zakres działalności służby zdrowia i leżą w obrębie zadań, których rozwiązania trzeba poszukiwać na daleką metę i w skali ogólno - państwowej. Możemy się tylko spodziewać, **że wraz z dokonującymi się** obecnie przemianami społeczno - gospodarczymi i wieś weźmie żywy udział w powszechnym rozwoju, a wyraz tego znajdziemy w pierwszym rzędzie w statystykach sanitarnych. Należałoby sobie wszakże życzyć, aby w postępie kulturalnym naszej ludności, a więc i wsi, położono odpowiedni nacisk na kwestie związane ze zdrowotnością. Postępowe środowiska lekarzy i higienistów francuskich coraz większą uwagę przywiązują do tzw. „éducation sanitaire", pod czym rozumieją szerokie uświadomienie społeczeństwa o wszystkim, co dotyczy zdrowia i choroby. W naszych programach szkolnych jest chyba tego za mało.

METODY „MAKSYMALNE"

W związku z drugim czynnikiem upośledzającym stan zdrowotny wsi, to jest z brakiem należytej opieki lekarskiej, odnosi się wrażenie, że można w tym wypadku zdziałać dużo i szybko. Słusznie podkreśla Stanisław Lewicki w artykule swoim we „Wsi", że ilość lekarzy w stosunku do ogólnej liczby ludności nie wiele obniżyła się w porównaniu z 1939 r. Poza tym uniwersytety szkolą dużo nowego personelu lekarskiego, dentystycznego i farmaceutycznego, a to samo dzieje się w szkołach pielęgniarek i położnych. Za parę lat, prawdopodobnie już bardzo niedługo, ilość lekarzy osiągnie i przekroczy normę przedwojenną. Tylko, — nawet jeżeli ci lekarze pójdą masowo na wieś, — w obecnym stanie rzeczy nie wpłyną rozstrzygająco na polepszenie panujących tam warunków zdrowotnych. Prymitywu nie zwalczy się prymitywem. Jak już napomknął Stanisław Lewicki, nie sposób wyobrazić sobie dzisiaj prawidłowego leczenia bez skomplikowanego mechanizmu nowoczesnej medycyny, bez roentgena, bez pracowni analitycznej, bakteriologicznej, hematologicznej, bez elektrokardiografii, fizykoterapii, bez specjalistów i ich precyzyjnych przyrządów, bez... mnóstwa innych rzeczy. Młody lekarz, oderwany od wszystkiego, co jest jego właściwym warsztatem pracy, a czego z reguły w dzisiejszej rzeczywistości wiejskiej mieć nie będzie, — zostanie skazany na chroniczne partactwo. Nawet doświadczony praktyk, mając do rozporządzenia jedynie „własne dziesięć palców i słuchawkę", nie wiele zdziała w takich okolicznościach. Chłopa ciągle jeszcze będzie dzieliło pięćdziesiąt lat postępu medycyny od prawidłowej w obecnym rozumieniu pomocy lekarskiej, chociażby mieszkał przez ścianę z lekarzem ****). Wydane przed wojną „Pamiętniki lekarzy ubezpieczalni" opowiadają o jakże częstej niemożności udzielenia najprostszej pomocy choremu z braku odpowiednich środków o zabiegach chirurgicznych czy położniczych dokonywanych w warunkach urągających najmniej dogmatycznym kanonom wiedzy. Ileż razy w przypadkach powikłanego porodu lekarz, zmuszony nagłą i groźną sytuacją, operuje chorą leżącą na barłogu pełnym brudu i robactwa. Do szpitala bywa nierzadko przeszło 30 km., a jako środkiem lokomocji można się posługiwać jedynie zwykłą furmanką. Jak ratować w takich warunkach pękniętą ciążę pozamaciczną? Jak leczyć, skoro najbliższa apteka znajduje się również o 30 km. i w dodatku często nie ma w niej tego, co akurat jest najbardziej potrzebne? Jeżeli lekarze w tej chwili nie idą na wieś, — to chyba nie ze względów materialnych. Na wsi jest mniejsza konkurencja i praktyka wiejska dzisiaj nie daje mniej obfitych dochodów w porównaniu z miastami. Nie mam na myśli oczywiście sław lekarskich, ani specjalnie biednych miejscowości. Przypuszczam natomiast, że przeciętnemu lekarzowi przeciętna praktyka na wsi lepiej się opłaca, niż w mieście, tak co do liczby pacjentów, jak i co do kosztów utrzymania. Przemogło by to nawet zamiłowanie do wartości kulturalnych, dostarczanych przez miasto. Ale też nie można twierdzić, że lekarze nie idą na wieś, dlatego że naogół zdają sobie sprawę z nieuniknionego wówczas wyjścia za nawias własnego zawodu.

Czy można się zgodzić z wysuniętą przez Stanisława Lewickiego w cytowanym już artykule we „Wsi" propozycją dwutorowości studiów lekarskich tzn. stworzenia „lekarzy praktyków, mających doskonale opanowaną technikę badania fizykalnego w chorobach wewnętrznych, dzieci i położnictwie" oraz lekarzy specjalistów, do których tamci kierowali by swoich pacjentów na leczenie, — przy czym ci pierwsi mieliby stanowić, jak się można domyśleć, typ lekarza wiejskiego. Wieś nie potrzebuje wiejskiego typu lekarza? To właśnie upośledzenie wsi pod względem zdrowotnym stworzyło taką specjalność. Wieś powinna mieć lekarzy pełnowartościowych, takich, jakich ma miasto. Lekarz, leczący wszystkie choroby od „artretyki do żółtaczki" (jak wyczytałem kiedyś w pewnym anonsie) należy do przeszłości. Wskrzeszanie go pod postacią lekarza dla wsi przypomina bardzo niektóre koncepcje „kultury dla ludu", gdzie „lud" traktuje się trochę z góry i trochę, jak dzieci. Znane są ogólnie fakty, świadczące, jak może się nieraz w krańcowych wypadkach obniżyć poziom zawodowy takiego właśnie lekarza „specjalisty wiejskiego". Zdarza się nawet niekiedy leczenie na odległość z ustnej relacji o chorobie. Jako swoiste curiosum można przytoczyć autentyczną receptę wystawioną w jednym z miasteczek małopolskich. Brzmi ona: Seri antitetanici, si non est da omnadin. Komentarze zbędne. I to nam grozi jako zjawisko masowe, jeżeli rzucimy na wieś lekarzy niedoświadczonych, — a doświadczeni znajdą sposoby, żeby nie iść, — nie dając im możności dalszego doskonalenia się w praktyce i nie dając do rozporządzenia właściwie zorganizowanego lecznictwa.

Dominantą wszystkich usiłowań uzdrowienia stosunków wiejskich, powinno być, jak się przynajmniej wydaje, możliwie najrychlejsze stworzenie na wsi pełnowartościowego warsztatu pracy dla lekarza, położnej i pielęgniarki. Szpitale, wszechstronnie wy-

---

*) Nie należy tutaj wyciągać wniosku, że gruźlica na wsi jest zagadnieniem mniej ważnym niż w mieście. Problem ten nabiera właściwego znaczenia, jeśli się zważy, że przygniatającą większość ludności Polski stanowi jeszcze ludność rolnicza i liczba chorych na gruźlicę na wsi w wartościach bezwzględnych przewyższa znacznie analogiczne cyfry dla miast.

**) Jest rzeczą jasną, że przytoczone tu liczby są w pewnej mierze niedostateczne, — stanowią one jednak wszystko, na czym można się na razie oprzeć. Pewne poprawki będą możliwe do przeprowadzenia dopiero po ulepszeniu metod rejestracji sanitarnej. Rosenau podaje, odnośnie miast amerykańskich, że umieralność w nich przed zastosowaniem urządzeń sanitarno - higienicznych i zorganizowaniem służb zdrowia dwukrotnie przewyższała umieralność na wsi. We współczesnej epidemiologii panuje pogląd, że o ile miasta mają przewagę w zapadalności na choroby przenoszone zakażeniem kropelkowym, to na wsiach jest większa zapadalność na choroby przewodu pokarmowego. Stan taki wynika z braku urządzeń sanitarnych na wsi (złe studnie, brak wodociągów i kanalizacji). Większą ilość przypadków duru brzusznego w Łodzi, niż w wojew. Łódzkim, można by tłumaczyć fatalnym zaopatrzeniem tego miasta w dobrą wodę.

***) N.b. zdanie to jest swego rodzaju ciekawostką i świadczy o bystrości spostrzeżeń ludowych: Wszy istotnie źle się czują u chorych z wysoką gorączką. Interpretacja tego faktu, prawidłowo zaobserwowanego, nie upoważnia jednak do wniosku, że wszawica jest wskaźnikiem zdrowia.

****) Autor zapomina, że w wielu dziedzinach jesteśmy zapóźnieni i że cenimy sobie często osiągnięcia, które nas przybliżają na owe „50 lat". Rozwój przemysłu i przesuwanie wskaźnika ludności wiejskiej z 70 proc. na 30 proc. to sprawa lat. Czy nie mogąc tego dokonać w natychmiastowym, „cudownym" skoku, mamy w naszych częściowych osiągnięciach widzieć nieunikniony dramat, czy etap w zwycięskim pochodzie postępu? Albo wszystko od razu albo nic? Czy taki typ rozumowania jest realistyczny i praktycznie skuteczny? Redakcja.

W OSTATNIM 1 (130) N-RZE „WSI" z dn. 4 stycznia 1948:

Jan Aleksander Król — Do ojczyzny chłopa i robotnika; **Antoni Olcha** — Nad Odrą w roku 1947; **Władysław Kowalski, Antoni Korzycki, Jan Dąb-Kocioł** — Z Rady Naczelnej S L-u (głosy polityków); **Józef Ozga-Michalski** — Tradycja postępu; **Edmund Niziurski** — Picasso na cenzurowanym; **Alina Nofer, Zdzisław G. Spieralski, Waldemar Kiwilszo** — Żeromski, Daniłowski Strug; **Piotr Pigwa** — O „rzetelność myślenia"; **Maria Janion** — Naturalistyczna koncepcja kultury; **Witold Jedlicki** — Konsekwencje; **Klemens Oleksik** — Z notatnika poetyckiego: Przy wyjściu z fabryki 1947. Odpowiedź przyjacielowi; **Władysław Dunarowski** — Życie się zaczyna; **Zygmunt Stern** — Kolęda; **Zygmunt Mysłakowski** — Uniwersytety powszechne"; Fakty i zdania. Str. 12.

posazone ośrodki zdrowia, obsługiwane w ten czy w inny sposób przez specjalistów najważniejszych gałęzi medycyny, opieka nad matką i dzieckiem, apteki, wreszcie szybkie i przystosowane do przewozu chorych środki lokomocji powinny stanowić podstawę, o którą musi się oprzeć wszelka, racjonalnie pojęta, organizacja służby zdrowia na wsi. Od tego zaczął kraj, który w zrozumieniu wagi zagadnienia, pierwszy podjął ogromny wysiłek podniesienia stanu zdrowotnego szerokich rzesz ludności, — mianowicie Związek Radziecki. Tam rozpoczęto od ośrodkow zdrowia i szpitali i lekarz, idący w teren z polecenia władz, szedł zawsze na określoną placówkę, zaopatrzoną w materialne środki działania, a nie był rzucany w próżnię. Dawało się to doskonale zaobserwować w 1939 r. Zapadła mieścina — Sieniawa, — otrzymała w ciągu paru miesięcy szpital o wyposażeniu nie ustępującym w niczym aparaturze bogatych szpitali wielkomiejskich. W Związku Radzieckim rozumiano, że inwestycje w zdrowie ludności są najbardziej opłacalnymi inwestycjami, dzięki czemu sprawy zdrowotności w hierarchii potrzeb państwa znajdowały zawsze bardzo poważną pozycję.****)

I jeszcze jedno. Zdrowie na wsi musi być albo bezpłatne, albo tanie, tym bardziej, jeżeli obecną sytuację naszej wsi chcemy likwidować skutecznie i szybko. W mieście istnieje gotowy aparat służby zdrowia, gdzie za pomoc lekarską płaci się grosze lub nic. Rolę taką spełniają poradnie, a przede wszystkim Ubezpieczalnia Społeczna. Słyszy się szereg zastrzeżeń pod adresem tej instytucji, — mniejsza, czy są one uzasadnione i w jakim stopniu, — ważnym jest fakt, że organizacja „taniego zdrowia" w mieście już istnieje i co najwyżej wymaga ulepszeń, podczas gdy na wsi sprawa ta pozostaje ciągle jeszcze otwarta. Jest rzeczą dalszej dyskusji rozważyć wszechstronnie zagadnienie ewentualnych spółdzielni zdrowia, względnie przejęcia przez państwo ciężaru opieki i pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej, czy też wynalezienie innego rozwiązania. W każdym razie jest to nieodzowny warunek skończenia z zabobonem i niefachowością w lecznictwie na wsi. Chłop, który idzie do znachora lub woła „babkę" zamiast położnej,— czyni to oczywiście z braku uświadomienia, ale także ze względów materialnych: znachor, czy babka wezmą taniej niż lekarz. Skoro cena leczenia nie będzie wysoka, zniknie plaga znachorstwa, będąca obecnie też nielada problemem. A nawet gdy nie zniknie zupełnie, reszty dokona automatycznie postęp kulturalny.

Na tak pojętą reformę zdrowotnego stanu wsi trzeba, rzecz prosta, środków. Na wyższą w porównaniu z wsią jakość organizacji opieki lekarskiej w ośrodkach miejskich złożyło się nie co innego, jak stałe ciężary finansowe ponoszone na ten cel przez społeczeństwa miejskie. A więc potrzebne są pieniądze, — dużo i szybko. I stan zdrowotny wsi tylko o tyle będzie się polepszał, o ile i w jakiej mierze te pieniądze będą. Włożone w podniesienie stanu zdrowia ludności wrócą się one z nawiązką, czy to w postaci zwiększonej wydajności pracy, czy też w formie mniejszych wydatków na utrzymywanie przez społeczeństwo osób nieproduktywnych w następstwie schorzeń, których przy leczeniu właściwym i w porę można by było uniknąć. Wieś jest obecnie zbyt uboga, żeby sama mogła unieść ciężar wkładów, jakie by trzeba było uczynić dla poprawy istniejącego stanu rzeczy. Wysiłkowi temu może podołać tylko cały naród, choćby nawet kosztem innych, także ważnych, pozycji.

4. NIECH IDĄ!

Pozostaje jeszcze pytanie, leżące u podłoża toczącej się dyskusji, — czy lekarzy powinno się posyłać w teren wiejski już teraz, nie czekając na przeznaczenie dla uzdrowienia stosunków na wsi odpowiednich funduszów? Pociągnięcie takie, przy efekcie realnym, miałoby jednak dość duże znaczenie moralne i propagandowe. Moralne w tym sensie, że wieś odczułaby to jako wyraz troski o siebie. Jeżeli do tej pory nie robiło się nic w omawianym kierunku, nawet taka, wysoce paliatywna i problematyczna pomoc, mogłaby oznaczać pierwszy krok do celu. Znaczenie propagandowe rzucenia lekarzy uwidoczni się tym, że oni sami, zmuszeni do pracy w prymitywnych warunkach, zaczną się energiczniej domagać radykalnych zmian i polepszenia istniejącej teraz sytuacji, utrzymując zagadnienie w ciągłej aktualności i nie pozwalając mu zniknąć sprzed oczu społeczeństwa. Być może lekarze i personel sanitarny pod naciskiem okoliczności włożą więcej wysiłku, niż dotychczas, w organizację lecznictwa wiejskiego.

Jerzy Nofer

****) Autor zapomina, że wyposażenie dla Ośrodków Zdrowia, jakim ZSRR dysponował w r. 1939, było już właśnie owocem 20-letniej walki Związku o zdrowie powszechne. Walka ta zaczynała się od nieistniejącego przemysłu medycznego (aparaty, lekarstwa), zaczynała się od przegrupowania w terenie takich, jacy byli lekarzy, od szkolenia w pierwszej linii felczerów położnych, sanitariuszy, szła etapami, skracając historię zapóźnienia fachowego i społecznego leczenia, ale nie przeskakując wielu ogniw, gdyż to oznaczałoby — 20 lat dzikich lekarsko stosunków na wsi — a potem dopiero cudowna pełnia: ośrodki, aparaty, wielo-osobowa obsługa, szpitale — jak chór aniołków z nieba schodzący na raz w wigilijny wieczór. Redakcja.

Mieczysław Piszczkowski

GENEZA LITERATURY O WSI POLSKIEJ

I

W rozwoju kultury polskiej zasadniczą „dominantową" rolę odegrała — poza chrystianizmem łacińskim — wieś i wiejskość, **rustykalizm.** Gdy na południu, we Włoszech, i na zachodzie Europy, w Niemczech, we Francji, w Niderlandach, w Anglii równolegle z rozrostem rycerstwa i ziemiaństwa rozwijał się urbanizm, w Polsce został on w XV—XVI w. zahamowany przez klasę szlachecko - rolniczą; równowaga socjalna uległa całkowitemu zwichnięciu na niekorzyść mieszczan, a zwłaszcza chłopów (fizjokratyzm szlachecki).

Los wsi pańszczyźnianej w Polsce, podobnie jak w innych krajach słowiańskich, ugruntował się jako objaw stosunków gospodarczych i społecznych w epoce dokapitalistycznej. Rozwój ten poszedł zupełnie innym torem w Europie zachodniej i wschodniej, a więc także w Polsce. Na Zachodzie był to proces o rezultatach pozytywnych; w Polsce i na Wschodzie — negatywnych. W ujęciu Władysława Grabskiego („Wieś polska i kapitalizm w rolnictwie". E k o n o m i s t a, T. IV, 1930) przedstawia się ten wielki proces dziejowy następująco:

> Rozwój miast i wytworzenie się niektórych centrów wytwórczości przemysłowej, jaki następował w pierwszych stuleciach czasów nowożytnych, dał znaczny impuls do skierowania produkcji rolnej do produkowania na rynek. Czynnik ten wyraził się w życiu wsi w dwojakiej formie. Z jednej strony wsie, położone tam, gdzie ten rozwój miast miał główne miejsce, korzystały z dobrego zbytu dla swych produktów i dzięki środkom pieniężnym, stąd osiąganym, uzyskiwały wyższy stopień niezależności gospodarczej, jak to widzieliśmy na Zachodzie. Z drugiej strony, kraje dalej od tych ośrodków położone, ale mogące dostarczać do pierwszych zboże, zaczęły rozwijać na eksport swoją produkcję. Ale nie była to produkcja wsi, a tylko folwarków, które w tym celu, by dostarczyć rynkom jak najwięcej zboża, zaprowadzały właśnie w tych czasach XVI i XVII wieku wzmożoną pracę pańszczyźnianą i powiększenie obszaru folwarków kosztem wsi. Tak było we wschodniej części Europy. Ale nie był to proces przenikania kapitalizmu do rolnictwa. Ani drobny rolnik, emancypujący się gospodarczo na Zachodzie, ani duży rolnik, rozpierający się gospodarczo na wschodzie Europy, nie wprowadzali kapitału nakładowego do rolnictwa. Ostatni powiększali dni pańszczyźniane, a więc darmowe, i nakładów żadnych nie czynili, wykorzystując na swoją korzyść gospodarczą swe uprawnienia polityczne, podczas gdy pierwsi, to jest włościanie, zostali zredukowani do roli pracowników, otrzymujących utrzymanie w naturze, w postaci posiadania pewnych kawałków gruntu na własny użytek pod formą gospodarstw pańszczyźnianych. Widzimy, że okres wytwórczości na rynek, poprzedzający okres kapitalistyczny, oddziałał na wieś europejską w dwu odmiennych i wprost sprzecznych kierunkach. W jednych krajach sprzyjał on temu, by gospodarz wiejski wszedł w kontakt z rynkiem bezpośredni, co przygotowywało następny stan rzeczy, w którym mógł on do swego gospodarstwa wprowadzić oddziaływanie kapitału nakładowego. W innych krajach wieśniak zaciśnięty został, pomimo oddziaływań rynku, do ram gospodarstwa naturalnego, czysto konsumpcyjnego.
>
> Polska wieś podpadła pod typowe działanie tego drugiego rodzaju wpływu rynku. W czasie, gdy w wiekach XVI—XVII eksport rolniczy z Polski rozwijał się na rynki zachodnie, wieś stopniowo ubożała, traciła wszelkie impulsy gospodarcze i stawała się jeszcze bardziej nastawiona konsumpcyjnie, niż w dawnych wiekach, gdy właśnie ośrodki miejskie były lepiej rozwinięte i sprzyjały zbytowi miejscowemu produktów wsi.

Przytoczyliśmy dłuższy fragment wywodów Wł. Grabskiego, aby uprzytomnić fakt, że cała literatura polska, zarówno sławiąca błogostan życia szlachecko - ziemiańskiego, jak też malująca „ciężary" i „opresje" chłopskie, wykazuje ścisłą analogię z ewolucją gospodarczą i społeczną.

Analogicznie do znanego schematu sielankowej szczęśliwości ziemiańskiej, opiewanej przez anonima, poprzednika Kochanowskiego, przez Reja, przez samego J. Kochanowskiego i tylu innych późniejszych — można by ułożyć długą listę chłopskich „docisków": niewolę osobistą, sądy patrymonialne, pańszczyznę, wyzysk ze strony panów i plebanów, rabunki wojskowe, uwodzenie kobiet. Rezultat: depresja moralna, zanik samodzielności i poczucia odpowiedzialności. Nie przyszło to jednak od razu.

II

Za Piastów kmieć, obok szlachcica i mieszczanina, spełniał ważną rolę kultaralną, walczył w hufcach Mieszków i Bolesławów, brał udział w administracji państwa, osadzał koronę na skroniach Łokietka. Ale już Kazimierz Wielki był o tyle bezsilny wobec nadużyć szlachty i możnowładców, że — według anegdoty opowiedzianej w ks. IX historii Długosza — chłopu skarżącemu się na doznaną krzywdę, radził samemu wymierzyć sobie sprawiedliwość; „...kiedy się zdarzyło że chłop skarżył się na pana swego o niesłuszne wydzierstwo grosza, sam mu poddawał azali nie mógł w kalecie poszukać krzesiwa a skałki na polu i zemścić się podpaleniem szlachcica, gdy inszej nie było rady". Mniejsza o to czy anegdota odpowiada prawdzie, rzeczą charakterystyczną jest, że Długosz ją podał, a ze stylizacji całego opowiadania widać, że w tej sprawie historyk solidaryzował się z królem

Z okresu piastowskiego równowagi stanów nie ma śladów życia wsi w utworach literackich ani w retoryce. Dopiero z zachwiania porządku socjalnego wynikł posępny fragment mowy Jana z Ludziska, wygłoszonej imieniem Akademii Krakowskiej przy powitaniu Kazimierza Jagiellończyka, przeszło 500 lat temu, dnia 23 czerwca 1447 r. W humanistycznej oracji mistrz Jan, należący — jak przypuszcza F. Bujak — do grupy radykalnym duchem przejętych profesorów, wystąpił w obronie stanu chłopskiego, z którego prawdopodobnie sam pochodził. Żądając naprawy królestwa Jan stwierdza wyraźnie: „Zaprawdę, chłopi w niej (tzn. w Polsce) są bardzo ciężko uciśnieni niewolą (servitute gravissime sunt oppressi), więcej niż ongiś synowie Izraela w Egipcie od Faraona...", a także więcej niż jeńcy wojenni uprowadzeni w niewolę. Pod koniec mowy Jan oświadcza, że Polacy postanowili oddać koronę Kazimierzowi, jako temu, który „żebraninę możnych" ma ukrócić, niewolę chłopów znieść i wolność chrześcijanom zamieszkującym królestwo przywrócić: „jasną albowiem jest rzeczą, że natura wszystkich ludzi zrodziła równymi".

Słowa Jana z Ludziska były rozmaicie interpretowane — uważano je bądź za humanistyczne ogólniki (K. Morawski, Tymieniecki), bądź też za wyraz rzeczywistego położenia chłopów polskich (Nadolski, Bujak). Jeśli w sprawie tej wolno zabierać głos nie historykowi - ekonomiście, dodam, że forma wypowiedzi Jana z Ludziska, pewna egzageracja należy do humanistycznej maniery oratorskiej, natomiast wywód rzeczowy jest tak wyraźny i logicznie jednolity, że trudno go uznać za oklepankę stylistyczną, lub atak na tzw. „stacje" (stationes), czyli postoje dworu królewskiego, jak sądził Morawski. Zniesienie „stacyj" leżało w interesie możnowładców — wiadomo, że domagali się go biskupi, krakowski i poznański, tymczasem mistrz Jan stawał nie w obronie wielmożów, lecz właśnie atakował ich „żebraninę". Wniosek nasuwa się jasny: podobnie jak własnymi dodatkami Jana z Ludziska (a nie humanistyczną manierą!) są w jego mowach ostre akcenty zwrócone przeciw Niemcom, tak samo oryginalnym i dosyć wiernie odtwarzającym faktyczny stan rzeczy wystąpieniem jest passus zwrócony przeciw możnym, a w obronie chłopów.

Jak gdyby repliką na mowę Jana jest — w perspektywie stuleci — późniejszy o kilka dziesiątków lat, prymitywny w formie, ale żywy w pasji narzekań i realiźmie obserwacji wiersz o sabotażu chłopskim, tzw. „satyra na leniwych chłopów". Szlachecki autor żali się na opornych „kmieci", co „chytrze bydlą z pany", na folwarcznym łanie zaledwo markują odrabianie pańszczyzny: przychodzą późno do roboty, często odpoczywają, biorą umyślnie gorszy inwentarz itp. Wniosek niedopowiedziany, ale oczywisty: należy złamać bierny opór i zmusić chłopa, by więcej czasu sił i starań poświęcił obszarowi dworskiemu. Te same tendencje, tylko w rozwlekiejszej formie, zawiera utwór pod charakterystycznym tytułem: „Opisanie przechernej i sztucznej natury chłopskiej przeciwko panom swoim" (ogł. przez Brücknera) Jest to właściwie inna redakcja „satyry na leniwych chłopów".

III

Rozważając łącznie mowę Jana z Ludziska i piętnastowieczne satyry na sabotaż chłopski, dochodzimy do wniosku, że przyczyną sprawczą literatury związanej z wsią polską, stała się **walka klas.**

Etap następny: w XVI w. zwycięstwo klasy średniozamożnych ziemian będzie podstawą społeczną szlacheckiej poezji wiejskich uroków.

Naturalnie — istnieje cały łańcuch przyczyn pośrednich: 1) humanistyczne wykształcenie Jana z Ludziska, jego prawdopodobne związki z husytami i ich radykalizmem, zatargi Akademii Krakowskiej z władzą królewską, wreszcie plebejskie pochodzenie mówcy; 2) wzorowanie się renesansistów na rzymskiej poezji rustykalistycznej, zwłaszcza na Horacym, szlacheckie pochodzenie i typ życia Reja, Kochanowskiego, Zbylitowskich etc.

Zapewne, nie każdemu chłopu było w XV wieku źle, a nie każdemu szlachcicowi było w XVI w. dobrze, niemniej dominantą w ówczesnym układzie stosunków gospodarczych i społecznych była niewola i uciemiężenie, jeśli chodzi o chłopów, a uprzywilejowanie stanowe i zaciszny dobrobyt, gdy chodzi o szlachtę. Nic dziwnego, że obydwie te formy istnienia — poprzez deformacje wprowadzone przez indywidualności twórcze — odbiły się w kontrastowych obrazach wsi biednej, wyzyskiwanej, ciemnej („my prostacy, A cóż wiemy nieboracy?"), gromadzkiej i wsi pogodnej, dostatniej, szlacheckiej. Zarówno jeden, jak i drugi obraz występował nieraz w ciągu wieków literatury polskiej w doskonałym kształcie artystycznym.



Wiktor Woroszylski

REPATRIACJA

„Pociąg w Polskę, jak w kożuch, wjeżdżał.
Otulony w marzec konduktor
siąpił przekleństw bezbarwnym deszczem
na spotkanie nowym wiaduktom.

Ile jeszcze granic i lat
wracającym wzruszeniem obrodzi?
Oczy, oczy, dworcowe światła...
Polska. Tak będzie co dzień.

O RÓWIEŚNIKACH KRÓTKO

Wrzesień, niby ranek. Byli dziećmi.
Cóż im łatwa wojna braci starszych?
Życie, jak karabin, ujęli w garść
w czterdziestym drugim, czterdziestym trzecim.

Wlekli tę żołnierkę, jak za duże buty
Każdy miał w chlebaku trudny sen o Armii.
Dziś, pod pagórkami z darni,
leżą twarzami na wschód.

Tylko co dzień, ledwie świt wystrzeli,
kłania się chłopakom tupot kopyt.
To popędza chude szkapsko chłop
na orkę popańskiej parceli.

1945.

(Wiersze powyższe wyjęte są z przygotowanego do druku tomu p. t.: „Repatriacja").

Maurycy Jaroszyński

Samorząd w Demokracji Ludowej (III) *)

W modelu państwa demokratyczno - liberalnego wytworzyły się dwa różne systemy, jeśli chodzi o budowę aparatu państwowego. Jeden polega na tym, że organami władzy państwowej są zawodowi urzędnicy, przy czym organa te są powiązane między sobą hierarchicznie, na czele zaś tej piramidy hierarchicznej stoi rząd, działający w zakresie poszczególnych działów administracji publicznej przez właściwych ministrów. Jest to system państwa biurokratycznego, jaki wytworzył się i zapanował na kontynencie europejskim, a więc przede wszystkim we Francji, w Niemczech, a także w przedwrześniowej Polsce. Pewnym uzupełnieniem i modyfikacją tego systemu jest samorząd, utworzony według starych pojęć, zacieśniony do wąskich granic spraw „własnych" czyli „samorządowych" i w tych granicach poddany ścisłej kurateli organów biurokratycznych.

Drugi system, właściwy krajom anglosaskim, zwie się „ludowym". Ludowość polega na tym, że organami władzy miejscowej są ciała, wyłonione przez ludność i złożone z niezawodowców. Miejscowej biurokracji zawodowej przypada w tym systemie rola wykonawców, doradców i pomocników, poddanych władzy zwierzchniej i kierownictwu organów obywatelskich.

Różnica między obydwoma systemami jest bardzo duża z punktu widzenia techniki administrowania, jednakże obydwa mieszczą się bez reszty w systemie państwa liberalno-demokratycznego i godzą się z jego istotą. W szczególności także system „ludowy" w administracji nie przeistacza jeszcze bynajmniej państwa kapitalistycznego, w którym kapitalizm i panowanie kapitalistów przykryte są listkiem figowym demokracji formalnej — w państwo ludowe. Różnica polega ostatecznie jedynie na różnej mechanice rządzenia. W systemie biurokratycznym panująca klasa rządzi za pośrednictwem biurokracji zawodowej. W systemie „ludowym" ta sama klasa rządzi przy pomocy obywatelskich rad miejscowych, uzależnionych zresztą w swoim funkcjonowaniu od centralnego rządu i centralnej biurokracji, jak to widzieliśmy na przykładzie Wielkiej Brytanii. System zarządzania przez rady miejscowe jest tylko rozszerzeniem i ilościowym pomnożeniem, ale nie istotną zmianą, demokracji formalnej: obok parlamentu centralnego istnieje wielka liczba „parlamentów" lokalnych (tak Anglicy często nazywają rady miejscowe); w rzeczywistości istotne sprężyny rządzenia są jedne i te same, schowane za kulisy oficjalnej sceny. I dopóki trwają podstawy ustroju kapitalistycznego w danym kraju — inaczej być nie może. Choćby nie wiem ilu urzędników państwowych wyznawało programy przeciwne ustrojowi kapitalistycznemu, będą oni, działając w charakterze organów państwa, pracowali na rzecz tego ustroju. Tak samo z tego zasadniczego punktu widzenia t. j. ze względu na charakter danego państwa nie ma istotnego znaczenia polityczny skład reprezentacji lokalnych; gdyby w swojej większości skład ten był nawet diametralnie przeciwny panującej klasie, w rezultacie cały aparat działać musi po linii istniejącego ustroju.

Dlatego usunięcie podstaw ustroju kapitalistycznego, dokonane niedawno u nas, ma tak doniosłe znaczenie nie tylko dla nowego ustroju gospodarczego i społecznego, ale także dla ustroju politycznego, którego ustrój administracyjny jest integralną i istotną częścią. Teraz dopiero stało się naprawdę możliwe uludowienie państwa we wszystkich kierunkach, w szczególności również w dziedzinie administracji.

Gdybyśmy rzecz całą traktowali czysto abstrakcyjnie t. j. w oderwaniu od naszej rzeczywistości społecznej i od doświadczeń cudzych i naszych własnych, moglibyśmy może wysunąć tezę, że jedną z teoretycznych możliwości jest system zcentralizowanej organizacyjnie demokracji ludowej, działającej t. j. realizującej swoje zadania w oparciu o aparat zawodowej biurokracji. Mówiąc inaczej, byłaby to struktura, podobna do modelu formalnej demokracji z biurokratycznym systemem administracyjnym, z tą oczywistą różnicą, że wola narodu wyzwolonego spod panowania obszarników i kapitalistów byłaby rzeczywiście (a nie tylko formalnie i fikcyjnie, jak dotychczas) reprezentowana w parlamencie i t y l k o w p a r l a m e n c i e i z parlamentu spływałaby na cały aparat wykonawczy, przy czym przewodnikami tej woli byłyby w zasadzie organa biurokratyczno - zawodowe. Tak jednak sprawy traktować nie wolno. Wszelkie teorie, choćby nie wiem jak logiczne, ale wysnute jedynie z głowy, a nie z doświadczenia społecznego, nie mają żadnej wartości. Demokracja ludowa, której ludność koncentrowałaby się tylko w parlamencie, byłaby wciąż narażona na wynaturzenie i wypaczenie, na oderwanie się od rzeczywistych aspiracji narodu, na stanie się formalnością i fikcją. Groza przerodzenia się w faktyczne rządy biurokracji wisiałaby nad nią stale. W warunkach wytworzonych przez dokonany przewrót, nie ma z pewnością sprzeczności między społeczeństwem i państwem; ale jest i sądzę, pozostanie na zawsze, sprzeczność między ludowością a rządami biurokracji, choćby to była biurokracja najbardziej „własna" i demokratyczna.

Uludowienie państwa i z a b e z p i e c z e n i e mu charakteru ludowego na całą przyszłość, wymaga niezbędnie rozbudowy organów władzy ludowej w terenie. Organa te zbudowane być muszą z elementu ludowego, obywatelskiego, niezawodowego. Oczywiście nie usuną one i nie zastąpią biurokracji zawodowej, bo bez niej nowoczesne państwo obyć się nie może. Ale, będąc organami rzeczywistej władzy, będą one nią również dla biurokracji zawodowej, która w ten czy inny sposób (jest to już kwestia techniki organizacyjnej) musi być im podporządkowana.

Tak tedy to, co pozostało z dotychczasowego samorządu i co się godzi z nowym układem stosunków, powinno być rozbudowane w instytucję podstawową w strukturze państwa ludowego, bo w instytucję władzy ludowej w terenie.

Ależ, powie ktoś, to są przecież nasze rady narodowe! Z pewnością tak jest. I tylko zamieszaniu, jakie po wyzwoleniu powstało wokół koncepcji samorządu można przypisać ten fakt, że wielu wciąż uważa, iż samorząd to jedno, a rady narodowe to coś zupełnie innego. Tymczasem w rzeczywistości rady narodowe są nową, dostosowaną do nowego ładu społecznego i politycznego formą samorządu. Nie zmienia istoty rzeczy, że forma ta jest u nas jeszcze nie wykończona w okresie przejściowym, jaki przeżywamy. Podstawowa koncepcja jest jasna i kierunek rozwoju wyraźny.

Dochodzimy do konkluzji.

To co było dawniej samorządem, ma dzisiaj sens jedynie jako forma organizacji lokalnej, terenowej władzy ludowej.

Władza jest lokalna, terenowa, bo terytorialnie ograniczona do określonych okręgów węższych i szerszych, równocześnie jednak jest to władza państwowa, organ terenowy demokratycznej, ludowej Rzeczypospolitej. Dawna „państwowa teoria samorządu" nabiera dopiero dzisiaj właściwego uzasadnienia, kiedy odpadły wszelkie racje przeciwstawiania społeczeństwa państwu.

Władza terenowych organów ludowych jest państwowa z innego jeszcze punktu widzenia: mianowicie zajmuje się ona s p r a w a m i p a ń s t w o w y m i w u j ę c i u l o k a l n y m. Albowiem nie ma spraw wyłącznie lokalnych, wszystkie sprawy publiczne są w zasadzie sprawami państwowymi, wszystkie bowiem interesują całe społeczeństwo. Natomiast każda sprawa publiczna ma — w większym lub mniejszym stopniu — swoją stronę lokalną, terenową, wynikającą ze szczególnych stosunków danego terenu.

Władza jest ludowa. Jej organa tworzy się z przedstawicieli ludności bez względu na ich zawód. Oczywiście z przedstawicieli społeczeństwa d a n e g o terenu. Ten skład organów władzy ludowej zabezpiecza całkowicie i automatycznie dbałość o to, co się dawniej zwało „interesami lokalnymi", a co dzisiaj nazwiemy stroną lokalną czy kolorytem lokalnym spraw państwowych. Przedstawiciele ludności terenu najlepiej będą czuwać nad tym, aby realizację zadań przystosować najlepiej do szczególnych warunków terenu i żeby w jak najwyższym stopniu uwzględnić odrębności stosunków i potrzeb lokalnych. Można się raczej obawiać tendencji do przesady pod tym względem; wtedy powinien działać aparat korektur odgórnych.

Zakres władzy terenowych organów ludowych powinien być — w interesie ludowości ustroju Rzeczypospolitej — jak najszerszy i o ile możności nie powinien dopuszczać wyjątków. Inna sprawa, w jaki sposób ta władza ma być wykonywana. Pod tym względem możliwych rozwiązań jest wiele. W dzisiejszym, tak bardzo skomplikowanym życiu społecznym, nie będzie można, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wybrać jednego rozwiązania trafnego dla wszystkich przypadków, lecz przyjdzie stosować różne zależnie od rodzaju spraw. Jest to — bardzo ważne skądinąd — zagadnienie techniki organizacyjnej, której na tym miejscu, traktując rzecz ogólnie i zasadniczo, rozpatrywać nie możemy. W każdym razie dopuszczalne rozwiązania zmieszczą się między dwoma skrajnymi: najmocniejsze uprawnienia organu ludowego polegać będą na pobieraniu wiążących decyzji; najsłabsze — na wykonywaniu nadzoru i kontroli nad względnie samodzielnymi organami wykonawczymi. Zależnie od wyboru środków w obrębie tych dwóch skrajnych możliwości, różnie się będzie kształtować sytuacja organów wykonawczych w ogóle, a organów zawodowo-urzędniczych w szczególności. Raz będą one tylko wykonawcami w najściślejszym tego słowa znaczeniu, t. zn. będą wykonywać wolę cudzą, a mianowicie organu ludowego; kiedyindziej będą one korzystać ze znacznej dozy samodzielności decyzji. Jednakże nawet w przypadku najsłabszych uprawnień organu ludowego, a mianowicie sprawowania jedynie nadzoru i kontroli (oczywiście z przewidzianymi rygorami) — organa te będą w stosunku nadrzędności do biurokracji zawodowej danego terenu. Jest to minimalny, ale bardzo istotny postulat ludowości ustroju państwowego.

Władza terenowych organów ludowych nie potrzebuje prawnych gwarancji niezależności, ani wałów obronnych w postaci nienaruszalnych i nietykalnych praw i spraw „własnych". Tego rodzaju konstrukcje nie dałyby się żadną miarą pogodzić z nowym układem stosunków społecznych i z systemem gospodarki planowej, który wynika organicznie, jako konieczność właśnie z tego układu stosunków. Oczywiście plany będą w pewnych okresach i pewnych kategoriach spraw ściślejsze, bardziej jednolite i rygorystyczne, w innych okresach i w innych dziedzinach bardziej ogólne i luźne; pewne sprawy w pewnych okresach znajdą się nawet zapewne w ogóle poza planem. Powtóre, nawet w przypadku planów bardzo ścisłych i szczegółowych, pozostaje zawsze problem realności ich wykonania, co wymaga dostosowania sposobów i metod realizacji do sytuacji terenu. Te wszystkie okoliczności stwarzają duże pole do s a m o d z i e l n o ś c i działania terenowych organów władzy ludowej. Nie może to być jednak samodzielność z góry i na stałe określona i usztywniona normami prawnymi, lecz elastyczna i uzależniona od zmiennych sytuacji faktycznych. Dopuszczalność generalnych dyrektyw działania jest w każdym razie niezbędna, a także dopuszczalność czynienia korektur od góry.

Wynika z tego, że organa terenowe władzy ludowej muszą być powiązane w pewien rodzaj hierarchii. Będzie to inny związek aniżeli wynikająca ze stosunku służbowego zależność organów zawodowo - urzędniczych, bo inna jest natura organów ludowych. Niemniej przeto będzie to związek hierarchiczny, bo polegający na pewnym stopniu zależności organów niższych od wyższych.

Tu dochodzimy do problemu bardzo ważnego, lecz i drażliwego zarazem. Mianowicie: komu mają być podporządkowane terenowe organa ludowe? Chodzi w szczególności o to, czy w ten łańcuch hierarchii ma być włączony Rząd. Postawmy pytanie jeszcze wyraźniej. Wyobraźmy sobie, że nasze rady narodowe są już pełnoprawnymi organami władzy ludowej; czy w hierarchię zależności rad narodowych od czynników centralnych włączymy rząd, czy też ustanowimy odrębną hierarchię organów władzy ludowej, przebiegającą równolegle do drugiej hierarchii, mianowicie organów wykonawczych (z tego punktu widzenia jest rzeczą obojętną, czy są nimi organa obywatelskie, czy zawodowo-urzędnicze), na której czele stałby Rząd?

Ta druga ewentualność odpowiada w zasadzie obecnemu stanowi rzeczy u nas; w zasadzie tylko, bo są jeszcze niedomówienia i niejasności, które są źródłem licznych nieporozumień i sporów. W szczególności rady narodowe tworzą odrębną drabinę hierarchiczną z Radą Państwa na czele; Rząd znajduje się poza nią, stojąc na czele drugiej drabiny — organów wykonawczych.

Ten stan rzeczy spotyka się z krytyką, przeważnie pokątną. Występuje się przy tym w imię prostoty organizacyjnej i sprawności działania. Z pewnością wielu krytyków powoduje się jak najlepszą wolą, u wielu jednak istotnym motywem są tęsknoty do przeszłości.

Postawmy sprawę wyraźnie. Nikt przecież nie będzie umniejszał doniosłości roli Rządu w zawiadywaniu sprawami państwowymi. Nikt również nie będzie negował konieczności istnienia biurokracji zawodowej, ani umniejszał jej pożytecznej roli w mechanice rządzenia i administrowania. Ale każdy organ i każdy czynnik w państwie powinien być ustawiony na właściwym miejscu; inaczej nie spełni należycie swojej ważnej roli. Ma swoją rolę biurokracja, mają ją również — i jakżeż doniosłą! — terenowe organa władzy ludowej. To wszystko wiąże się z omawianym zagadnieniem o tyle, że Rząd w swoim działaniu jest zdany z konieczności na biurokrację zawodową. Inaczej być nie może. A więc włączając Rząd w hierarchię terenowych organów ludowych, włączylibyśmy w nią, chcąc nie chcąc, również zawodową biurokrację. I to zarówno centralną jak i terenową a przynajmniej wojewodów i starostów. W ten sposób poderwalibyśmy same podstawy ustroju ludowego. A to jest rzecz najważniejsza.

Pozostaje kwestia nazwy. Chodzi o to, czy dla opisanej dopiero co instytucji zachowamy starą nazwę samorządu, czy też możemy się bez niej obejść.

Nazwa samorządu nie jest bynajmniej konieczna. Obywa się bez niej z powodzeniem wiele krajów: przede wszystkim, bo najdawniej, kraje anglosaskie, którym obce jest samo pojęcie samorządu. Następnie Związek Radziecki od chwili wprowadzenia obecnego ustroju. Wreszcie kraje, które już mają wykończony system ustroju demokracji ludowej i wprowadziły nowe konstytucje.

Z drugiej strony nazwa nie jest kwestią zasadniczą. Możemy się umówić, że organa władzy ludowej w terenie będziemy nazywać, nawiązując do tradycji, samorządem. Możnaby się jednak na to zgodzić jedynie pod tym warunkiem, że z dawnego samorządu pozostanie tylko nazwa, że natomiast odpadną wszystkie cechy tej instytucji w przeszłości, nieuzasadnione w aktualnych warunkach i sprzeczne z ogólnymi tendencjami rozwoju.

Osobiście wolałbym zarzucić nawet nazwę samorządu. Albowiem z nazwą wiązać się będą u niektórych reminiscencje przeszłości i powodować nieporozumienia, których i bez tego jest aż nazbyt wiele.

* * *

Na koniec słówko do mych towarzyszy-samorządowców. Do tych wszystkich, z którymi przez długie lata myśleliśmy wspólnie i dyskutowali o samorządzie i z którymi walczyliśmy o samorząd, o jego najszerszy zakres działania, o maksymalną niezależność funkcjonalną i finansową. Czy to wszystko, co powiedziałem o samorządzie w chwili obecnej oznacza zmianę przekonań i zdradę ideałów?

Nie, drodzy przyjaciele. Zmieniło się coś znacznie większego i ważniejszego, aniżeli nasze przekonania: zmienił się cały ustrój gospodarczy, społeczny i polityczny. Każda instytucja ma swój określony sens w określonym ustroju; ze zmianą tego ustroju kończy się jej dotychczasowe znaczenie. I właśnie to stało się z samorządem. Nasze przekonania, związane z minioną epoką, stały się po prostu bezprzedmiotowe.

Jest jednak coś znacznie ważniejszego, aniżeli aktualny wyraz przekonań, a mianowicie istotne *m o t y w y* działania. My, samorządowcy nie byliśmy nigdy, przynajmniej w swojej większości, czcicielami samej tylko formy samorządu. Samorząd był dla nas nie celem, lecz środkiem wiodącym do celu. Środkiem, który w danych warunkach uważaliśmy za najlepszy i z tego powodu byliśmy właśnie „samorządowcami". Byliśmy nimi, bo widzieliśmy możliwość przybliżenia do ludu tej odrobiny władzy, jaką reprezentował samorząd i użycia tej władzy przez sam lud dla jego dobra. Demokratyzm był tedy rzeczywistym i naczelnym motywem, którym kierowaliśmy się, walcząc o samorząd i pracując w samorządzie. Dlatego możemy się nie obawiać zarzutu zdrady ideałów, bo nasze naczelne ideały zwyciężyły i ucieleśniły się w ustroju demokracji ludowej.

Od czasu do czasu słychać jednak głosy, wołające o restytucję „samorządu" mniej lub więcej takiego, jakim był on w minionej epoce, a więc obronnego, społecznego, przeciwstawnego państwu. Jedni wołają o samorząd dlatego, że nie zrozumieli jeszcze sytuacji i nie zdołali wyciągnąć wniosków z dokonanych przemian. Tych trzeba się starać przekonać. Inni jednak czynią to dlatego, że doskonale rozumieją sytuację, ale się z nią pogodzić nie mogą. Dla nich nawrót do dawnego samorządu jest jedną z prób poderwania nowego ustroju i nawrotu do przeszłości pod każdym względem. Tych trzeba bezwzględnie zwalczyć, jako wrogów demokracji ludowej.



---

*) p.: M. Jaroszyński, „Opory starych ideologii", „Wieś" nr 47 (126) i „Samorząd w ustroju kapitalistycznym", „Wieś" nr 48 (127).



Tadeusz Chróścielewski

SZKICOWNIK PARTYZANTA



Stanisław Skoneczny: Wierni ziemi. Związek Zawodowy Literatów Polskich, Oddział Wiejski. Kraków 1947, str. 78.

Na tomik Stanisława Skonecznego „Wierni ziemi" składają się utwory różne i czasem powstania i gatunkiem literackim i wreszcie poziomem osiągniętego artyzmu. Autor włącza do książki kilka swoich wierszy sprzed wojny; dla czytelnika nie znającego przedwojennych publikacji Skonecznego*) są one wskaźnikami, w jakich kręgach poetyckich wpływów kształtowała się jego świadomość pisarska. Widać, że autor wiersza „Do przyjaciela" czy „Ojcu" urzeczony był awangardową techniką operowania elementem opisu, sugeruje go metafora awangardowa, narzucająca czytelnikowi wizję zdynamizowanego krajobrazu. Oto kilka przykładów:

„Ziemia pagórkami opada w zachody
i świty...
...a, horyzonty przenoszą na barkach lasów
przestrzeń..

— — — — — — — — — — — — — —

„czarną ścianą wybuchnął las w wieczorną
ciszę."

— — — — — — — — — — — — — —

„Wzgórzami idą drzewa żałobną gromadą."

Stanisław Skoneczny w cyklu wierszy wojennych zmaga się poetycko z tragiczną rzeczywistością okupacyjną. W luźnych fragmentach kreśli etapy narodowej klęski. Są to właściwie jakby szkice do okupacyjnej epopei. Robi je autor dwojaką techniką. Jedna to pamiętnik poetycki. Składają się nań takie wiersze jak: „Brzozy", „Matka", „List". Skoneczny komunikatywnym, z lekka tylko zmetaforyzowanym językiem opowiada w nich o losach partyzanta:

„Nad tym domem gdzie była nasza
nielegalna drukarnia,
za cmentarzem brzozy schyliły swe cienie.
Później: piętnastu ludzi las przygarnął.
Kulami w noc biliśmy ciszę. Ty byłeś
w więzieniu."

albo strofa z „Listu":

„Kiedy z lasu szedłem późno ścieżką do
ciebie,
Wśród opłotków dojrzewał zaczajony strzał.
Wiatr dmuchał w reflektory przygasłe na
niebie
i cicho jak szloch dziecka nad miedzami
trwał."

Inny charakter mają takie wiersze jak: „Dni i noce", „O rozstrzelanych", „Opowieść lat". Skoneczny posługuje się w nich syntetycznym obrazem, zagęszcza metaforykę i osiąga plastyczne skróty zdarzeń.

„Całowały dziewczęta zroszone liście i igliwie,
podnosiły ramiona w trzepocie włosów długich
i płakały później, kiedy dzień posiwiał —
Niemcy młodych rozstrzelali pod ścianą
szarugi."

Dominującym elementem w poetyce Skonecznego jest, jak u autentystów, krajobraz. W ujmowaniu go łączy poeta właściwą autentystom wielość drugorzędnych, drobnych i słabo dostrzegalnych niepoetyckiemu oku szczegółów i awangardowy dynamizm. Charakterystyczne, że przeważają tu realia tradycyjnej, utrwalonej w wyobraźni mieszczanina lenartowiczowskiej wioski — znamienne motywy: mięty, niezapominajki, legionowych maków. Na taki obraz wsi spokojnej nasuwa poeta widmo brutalnej armatury wojennej i zniszczeń. Funkcją krajobrazu jest ilustracja uczuć lirycznych, wśród których dominuje romantyczny smętek. Tej funkcji przyporządkowaną jest metafora, bądź tradycyjne personifikacje, jak w „Panu Tadeuszu":

np. „Sosnom nie dziwno, dębom i grabom"*)

czy „Niebo w chmury się skryło, ażeby nie
patrzeć
Na sine twarze poległych"... **)

bądź chwyt awangardowy sprowadzający się również do personifikacji — wyposażenie przyrody w rynsztunek militarny:

„Błyszczą bagnety gwiazd... bojów zachody
Rozszumią się lancami świerków"***)

Krajobraz przygniata zupełnie drobne partie czystej refleksji, które niekiedy, jak w wierszu „Rozstrzelani" ograniczają się do kilku linijek wierszowych. Pejzaż Skonecznego ozdabia wąską problematykę jego wierszy, ograniczoną prawie wyłącznie do apologii karabinu i męczeńskiej szubienicy.

Skoneczny patrzy na świat oczyma młodego i wyłącznie zaabsorbowanego wojną partyzanta, dziedzica ojczyźnianych tradyc,i romantycznych utrwalonych w obrazach Grottgera. Stąd bogoojczyźniany patos łączący go z szeregiem zachowawczych poetów lat międzywojennych — Or-Ot, Antoni Bogusławski, Wierzyński, czy poległy w czasie wojny poeta-robotnik, działacz endecki Konstanty Dobrzyński — oraz częsty heksametr „Bema pamięci rapsodu żałobnego".

Przy takim spojrzeniu wyjątkowo tylko trafia się strofa o „ludziach sławiających niskie domy na zgorzeliskach". Dostrzegamy w tomiku martyrologię i las — dwa rodzaje bohaterstwa — nie wolnego od romantycznej świadomości efektu własnej pozy.

Każdy szczegół widzianego świata, nawet fakt, że „całowały dziewczęta zroszone liście i igliwie", że „organista z much kobyłę oganiał, a ksiądz mówił poranne pacierze" — odniesiony jest odrazu do pojemnego pojęcia ojczyzny, do patriotyzmu po szlachecku nieokreślonego. Nie widać tych powiązań między zdarzeniami, w których dojrzewała i wyrosła na pozór tylko nagle rzeczywistość społeczna tak różna od przedwrześniowej. Społeczny radykalizm poety jest tak samo ogólny, jak jego patriotyzm, nie opiera się na wiedzy o świecie, lecz tylko na impulsach uczuciowych.

„I nie pisać mi było wierszy,
Trawy kwitły makami krwi".

Obarczony takimi tradycjami autor w pewnym momencie zwraca się dość nieoczekiwanie do mistycznej problematyki winy i kary — anachronistycznego buntu Kasprowicza wobec praw opatrzności historii.

„A czyż ci ludzie popełniają winę?
Jak długie ich życie, tak nad siły trud —
Ramiona dniami przybijają do gleby,
Gdy w skwarze spulchniają twardość
grud".

*

Charakteryzując najogólniej szkicownik epicki Skonecznego sądzę, że odtwarza on wiernie nastroje pewnych grup partyzanckich, nastroje bezwątpienia szczytne, lecz nie znajdujące przedłużenia po wojnie.

W tym spojrzeniu na świat tkwi duże niebezpieczeństwo dla zdolnego poety. Uporczywość tego niebezpieczeństwa i trudność jego przezwyciężenia obserwowaliśmy na wielu twórcach w okresie obejmującym przeszło sto lat. Może ono zabić w Skonecznym poetę współczesnej rzeczywistości. Nie jego jednego. Mamy więcej poetów, którzy jak Skoneczny, jak Grzegorz Timofiejew nie mogą wyjść poza pamiętnik poetycki czasu okupacji.

---

*) Ziemia była szeroka — poezje — Hoesick, Warszawa 1938
Nie milknie pieśń — poemat — Hoesick. Warszawa 1939.

*) „Na postoju".
**) „Wierni ziemi".
***) „Kto nas wyśpiewa"

*) „Wierni ziemi". „Opowieść lat".

Lech Budrecki

NA TO CSATO?

(O krytyce teatralnej)

Recenzent teatralny w Polsce to rzadkie zjawisko. Zostało ich dzisiaj niewielu, (gdy zbrakło wielkich: Boy, Irzykowski, Siedlecki, Lorentowicz). To też obowiązki cenionych sprawozdawców pełnić poczęli powieściopisarze i poeci. Rzadko już tylko spotyka się recenzenta z profesji. Każdy spośród tych kilku ludzi to niemal zapowiedź Boya, to nadzieja wielkiej kariery publicystycznej. Co tydzień czyta się kilka recenzji w tygodnikach, za rok może któraś z nich będzie stanowiła zawartość nowego „Flirtu z Melpomeną". Przykład Żeleńskiego ma swój kuszący urok. Zjawił się mało znany tłumacz, zajął miejsce Żeromskiego i utrzymał się na nim mimo ustawicznych krucjat, starających się go obalić. To niezwykłe powodzenie otworzyło drogę nowym, literackim sukcesom. „Narazie nie ma ich" mówicie. Poczekajcie, usiłowania w tym kierunku już istnieją. Spróbujmy zbadać je na dowolnym przykładzie.

Od dłuższego czasu ukazują się w „Nowinach Literackich" sprawozdania teatralne Edwarda Csato. Niedawno na łamach tego samego pisma pojawił się artykuł wstępny dotyczący zagadnień kulturalno-społecznych. Przeczytałem go uważnie, poszukałem nazwiska autora: Edward Csato. Od recenzji do artykułu, od teatru do problematyki socjalnej. Więc jak gdyby miniatura drogi, odbytej ongiś przez Boya. Podobieństwo zaiste uderzające i nieoparte jedynie o wspólny punkt wyjścia.

Jesteśmy na tropach „Flirtu z Melpomeną". Zbadajmy przeto uważnie ślad. Czego nauczył się od swego mistrza kandydat na nowego Boya? **Filozofii felietonu.** Mógł poznać ją w wydaniu mniej doskonałym u Makuszyńskiego np. Zaczerpnął ją jednak w „Breweriach", w „Pijanym dziecku we mgle".

Kiedy krytyk ocenia sztukę, dekorację, grę aktorów, kiedy podsuwa pomysły interpretatorskie, myślimy: recenzja. Z chwilą gdy jednak zaczynamy się dowiadywać o niezadowoleniu dyrektora Myrchańskiego, o tym, że pobiegł on z loży od razu za kulisy i o tym wreszcie, że ktoś kogoś wyrżnął w nos, to już napewno felieton. Trudno usiłować tutaj nakreślić poetykę tego „gatunku" publicystyki, warto zestawić jednak kilka jego cech. Mówi się o rzeczach zabawnych, o rzeczach mogących nie mieć żadnego związku z tym, co dzieje się na widowni. Pani w loży, ubiór odźwiernego, nos bileterki, oto co daje się opisać w felietonie. Za cel służy przecież sprawozdanie. Takie jakie się składa znajomym. „Byłeś w teatrze?" „Byłem". „No i co?" „Wyobraź sobie, co tam się działo". W ten sposób zaczyna się każdy teatralny felieton. Ten wstęp jest już tak oczywisty, że się go opuszcza.

Z chwilą gdy streszczenie wydarzeń urywa się, kolej na refleksje. Krytyk wyłapuje problemy z widzianej przed chwilą sztuki, referuje je, osądza. Czasem dorabia do utworu dalszy ciąg, czasem rozpoczyna ocenę konwencji moralnych. A co robi Csato? Csato korzysta także z prawa do refleksji. Oto jego rozważania nad „Zamkniętymi drzwiami" Sartre'a. „Na ogół dość rzadko przeżywamy stany o tak wysokiej temperaturze emocjonalnej, dość rzadko podlegamy napadom tak chorobliwie konsekwentnego myślenia; wydaje mi się, że klimat „Zamkniętych drzwi" odczuje, najlepiej człowiek owładnięty jakąś wielką ideą, albo **śmiertelnie zakochany**, przeżyje on wówczas na pewno bodaj parę chwil, które będą **rodzajem wycieczki** w najgłębszą czeluść sartrowskiego piekła". To pierwsza uwaga, zaraz mamy następną. „Niewątpliwie stany psychiczne, o jakich mówi Sartre w swym dramacie, istnieją. Zdarza się, że gorąco pragnęlibyśmy zrozumieć innego człowieka — jakoś **tak intymnie i blisko**, aby nic, co on przeżywa nie było nam obce, pragnęlibyśmy również znaleźć podobne zrozumienie z jego strony. Ustawicznie także marzymy o tym, aby opinia otoczenia o nas, nie różniła się zgoła od naszego własnego o nas samych mniemania. Powinnibyśmy wiedzieć z góry, że nie podobna osiągnąć niemożliwości, ale emocja każe nam o tym zapomnieć. W rezultacie dajemy się usidlić korowodowi cierpień. A w końcu zbyt już zmęczonym mogą nam się marzyć jakieś ucieczki do spokoju, którego odblask przeczuwamy w nieruchomych źrenicach posążku Buddy". Całe zagadnienie „Huis clos" zostaje sprowadzone do związków między Heideggerem a Buddą, poczem udziela się nam wskazówki zakochania się przed pójściem na spektakl do Małego Teatru. To pomoże nam zrozumieć problematykę Sartre'a. Znamy ten rodzaj felietonowej mądrości chyba wszyscy. Recenzję taką musi przeczytać każdy. Na czym bazuje felieton? Na ciekawostkach, na opowiastkach z burdelu (patrz w „Kręgach rzeczywistości" Csata) na tym wszystkim, co zwiększy jego poczytność. Felieton musi być komunikatywny, oto pierwsze wskazanie dziennikarskiej poetyki. Drobnomieszczanin inteligent przeczyta powieść Agathy Christie. Trzeba by ten drobnomieszczanin i ten inteligent przeczytali teatralne sprawozdanie. Ono nie jest przeznaczone dla erudytów ani też dla ludzi wprowadzonych w kulturę humanistyczną. Zwykły odbiorca nie powinien go odłożyć. W przeciwnym razie przekroczymy granicę felietonu, wejdziemy w dziedzinę niemal że naukowej wiedzy o teatrze. A do tego p. Csató nie dopuści. Każdy krytyk postuluje. Czyni to tylko mniej lub bardziej jawnie, zmuszając nas niekiedy do dokładnego przejrzenia jego osądów, by wydobyć stamtąd głoszone przezeń hasła estetyczne. Gdy ktoś usiłuje zastąpić Boya musi przedstawić program, którym to miejsce po nieżyjącym już autorze „Mózgu i Płci" chce wypełnić. Poszukajmy „wyrazów kluczowych", które zaprowadzą nas szybko do sformułowań jego następców, nie polegających już na kpinie z irracjonalizmu, lecz na wyliczeniu zdań, jakie się chce narzucić teatrowi. Czytamy: „intelektualne rozwinięcie treści", „aintelektualny humor", „intelektualizm formy", „intelektualizm treści", wreszcie postulat: „Mam wrażenie, że czeka nas okres jakiegoś „scenicznego intelektualizmu". Felietonista zamienił się w groźnego wyznawcę. To nie tylko zmiana kostiumów czy też tonu, to także zmiana prawd. Nikt z nas nie wie chyba, co znaczy „intelektualizm sceniczny", nikt z nas nie będzie dociekał sensu tego i innych podobnych mu wyrażeń. To byłoby bezcelowe. One służą do nadania scientyficznych pozorów słowom pana Csató. To tylko niedobra zapowiedź dalszego wykładu estetyki. Wysłuchajmy go: „Każde dzieło sztuki jest kompozycją, a każda kompozycja bez względu na ewentualnie konkretny charakter swoich części składowych, zawsze będzie się musiała opierać na czynnościach abstrahowania. Rzecz w tym, aby owe konstrukcje tworzone przez nas zawierały w sobie jakąś prawdę, aby dały się zastosować do świata, w którym żyjemy, aby nie były czczą igraszką pozbawioną wszelkiego sensu". Teraz wyjaśnijmy sobie po krótce zadania krytyki. „Krytyka ma rozjaśniać, formułować problemy, uświadamiać, z obserwacji i analizy szczegółów wysnuwać wnioski o całości, a potem znów konfrontować i szukać, w jaki sposób obraz całości zmienia nasz sąd o jej fragmentach". Tak nigdy nie pisał Boy. Napróżno szukaliśmy podobnych stron w całym recenzenckim dorobku autora „Dziewic konsystorskich". Tu na teren sprawozdania teatralnego wdarły się już nowe czynniki. Stanowi je dziwaczna estetyka, wykładana zawile, a co gorsza mętnie. Któż bowiem będzie wiedział, o co chodzi p. Csató, gdy ten mówi, że każde dzieło sztuki opiera się na czynności abstrahowania lub kiedy uświadamia nam nowe cele i zadania krytyki? Metaforyczny język („krytyka ma rozjaśnić ciemności") nie podający przedmiotów ani dokładnie określonych pojęć, do jakich porównania bezustannie się odnosiły, zbiór słów znaczących coś w odosobnieniu, jako zespół jednak pozbawionych wszelkich desygnatów — oto co chce wnieść na miejsce boyowskiego „common sensu". Krytyk z „Nowin" Csató nie jest sam, Csató to zjawisko. Symptom młodych recenzentów, którzy sięgną lada dzień po to stanowisko, jakie zdobył sobie Żeleński w literaturze 20-lecia. Szermując felietonem i cierpliwą mądrością, nie wiedzą oni, że już się spóźnili. Działają w czasie, który nie potrafi zapewnić im pomyślnej koniunktury. Ich pozycje — to pozycje lat trzydziestych, ich hasła — to przedmiot badań historyka. Dziś bowiem przedwojenny Boy, przestałby być Boyem. Utraciłby swoje znaczenie. Trafnie bowiem zakonkludował Csató, wydając zresztą mimowolnie wyrok na siebie: „A jednak zastanówcie się dobrze, świat się zmienia i razem z nim zmieniają się wszystkie problemy".

Jacek Bocheński

WIDOWISKA

Kto nie widział wystawy, niech pośpieszy obejrzeć.
Na ulicy Puławskiej antykwariusz w liberii
z wiatrem walczy. Panienki stukają obcasami,
nie stukajże, panienko, nie rzucaj mi ogryzków.

Antykwariusz zakreślił krąg na ziemi: „to moje"
Antykwariusz zakreślił krąg w powietrzu: „to moje".
Książki do bruku przybił kamieniami. Już ptaki
gniazd nie uwiją, mrówki starożytnego druku
jeść nie będą. Przechodzień czyta, na ziemi klęcząc
de amore Dei, de timore Dei.

Kto smutny z wystawy wraca, niechaj ze mną pojedzie
do teatru. Na górze ludzi i ciał niebieskich
układ ruchliwy, cegły opadają jak ptaki,
robotnik tańczy na wieży, hopsasa śpiewa i pluje.
A u dołu dziewczyna z gołym pępkiem i druga
w spodniach i trzecia w rytmie doskoczyła. Baletmistrz
mówi: „Tak trzeba tańczyć jak w pochodzie z ptaszkami".
Po próbie generalnej będzie wielka premiera
dla robotników miejskich i dla pana premiera

„ŻYCIE I PRACA PISARZA"*)

Jan Bolesław Ożóg

AUTENTYSTA

Wystarczyło mi powiedzieć kiedyś, że nie imponuje mi marksizm, ani leninizm, na który snobizują się nasi minimaliści i dekadenci spod znaku tzw. „Awangardy" i że wobec awersji do wszelkich obcych „izmów" wolę iść za własnym instynktem i własną filozofią, aby stać się ofiarą dla sfory rozszczekanych gryzipiórków i różnego kalibru niedouków, redagujących tygodniki społeczne, tygodniki polityczne i tygodniki literackie. Od trzech lat ja jeden tylko miałem odwagę przemiawiać w obronie np. naszego rodzinnego autentyzmu i od dwu lat autentyzm i ja jesteśmy systematycznie przemilczani. Zatem tak by wyglądało, że autentyzmu nie ma. Nie udało się dziecko. Nie umie ani Lenina, ani Sartre'a. Wylejcie je z wodą wobec tego! Jesteśmy tedy płodni! Urodziliśmy tyle kultur i systemów!

Przedmiotem ostatnich moich rozważań jest problem, kiedy wreszcie pisarze skończą się babrać w socjologii, a raczej socjografii, a wezmą sie na serio do pracy, kiedy literaturę polską, tego wielkiego a tchórzliwego wymoczka nawiedzi wstyd, olbrzymi wstyd za... odsunięcie się od kraju i narodu i jak na koniec, nazywał się ten pierwszy dureń, który powiedział, że zdobycie indygenatu naukowego i literackiego przez pisarza chłopskiego, chcącego uchodzić za twórcę przede wszystkim narodowego i ponadnarodowego (jak Whitman, Kasprowicz, Reymont, Hamsun, Jesienin) równa się zdradzie klasy chłopskiej. Może na ten temat napiszę, ale czy artykuły pojawią się w prasie, tego nie wiem.

Prac gotowych do druku mam wiele. Boja się ich jakoś wydawcy. Powody? Z jednej strony niecenzuralne nazwisko, z drugiej — usłużni przyjaciele, nie szczędzący mi pchnięć noża przy świetle... zgaszonym. Sam nie zamierzam uświadamiać wydawców, na ogół słabo orientujących się w zjawiskach literackich, jakie książki winni puszczać w obieg.

Czeka na czytelnika powieść „Jutrzenka", o wsi w okresie przewrotu majowego.

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza" wyjdzie drukiem zbiór nowel „Dusze chałupiane". Ogłaszałem je kolejno w przedwojennym „Pionie", „Czasie", „I. K. C." oraz w pismach powojennych

Czeka na wydawcę skromny zbiór opowiadań dla młodzieży chłopskiej „Ptaszki". Interesuje mię prócz poezji muzyka i plastyka. Mam w tece partytury organowe piosenek i obszerny zbiór szkiców, drzeworytów i wycinanek. Może kiedyś ci, którzy badać będą trupa chłopskiego poety — zawalidrogę, znajdą i jego rzeźby z lat, kiedy jeszcze do gimnazjum chodził (1930—1931), w muzeum diecezjalnym w Przemyślu. Niech sfotografują te głowy w ile i kredzie i fotografie dołączą do drzeworytów i szkiców ołówkowych

Uzyskałem na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień magistra filozofii z zakresu filologii polskiej. Owocem studiów uniwersyteckich jest kilka prac naukowych.

Niedawno temu Spółdzielnia Wydawnicza „Wieś" wydała mi rozprawkę „Muzea wiejskie" poprzednio ogłoszoną w miesięczniku „Wieś i Państwo", a obecnie „Czytelnik" przyrzeka mi wydanie rozprawy o zainteresowaniach geologicznych i przyrodoznawczych Żeromskiego. Praca wyjdzie prawdopodobnie pod tytułem: „Żeromski jako geolog i paleontolog".

Przygotowałem obszerny szkic o motywach geologicznych w poezji polskiej.

Wydałbym chętnie wszystkie essay'e o autentyźmie, rozsypane po „Życiu Literackim", „Tygodniku Warszawskim" i „Warszawie". Zebrane w cykl „Z przyczółka dzikiej gruszy" stanowią spoistą całość. Czekają aż się ktoś nad nimi zlituje i wyda w formie broszury.

Przez 10 lat pracowałem nad gwarą chłopów rzeszowskich z tzw. bastionu sokołowskiego. Studium obejmujące obszerną gramatykę i słownik 1000 oryginalnych wyrazów oddałem do użytku profesorom-lingwistom Uniw. Jagiellońskiego.

Z zakresu dziejów i kultury wsi napisałem po 15 latach mozolnych badań dwie monografie: 1) Z dziejów wsi Nienadońki (to moja wieś rodzinna), 2) Spółdzielnie i instytucje gospodarczo - kulturalne w Sieradówce.

Najprozaiczniejsza gonitwa, za chlebem, praca zarobkowa w szkole marnie wynagradzana paraliżuje mi obecnie do gruntu zamierzenia literackie. Uczę w jednym z państwowych gimnazjów w Radomiu. Nie natrafiam na minimalne choćby zrozumienie w swoim środowisku moich potrzeb kulturalnych. Nawet jednodniowy wyjazd poza szkołę w sprawach literackich staje się w takiej sytuacji czymś co wytwarza dystans zdecydowanej niechęci „władzy" do mnie.

Potencjonalnie praca literacka zajmuje u mnie pierwsze miejsce. Na drugim planie stawiam pracę pedagogiczną w szkole i mieście i pracę społeczną na wsi (podczas wakacji), na trzecim — czytanie dzieł z zakresu historii sztuki, socjologii, krytyki literackiej estetyki przyrodoznawstwa, geologii, ponad to powieści i poezji. Przeglądanie i czytanie czasopism literackich traktuję nie jako wysiłek umysłowy, tylko zabawę.

Dużo się pisze dziś o tym, że praca literacka winna być konkretyzacją czynnej działalności społecznej. Co to jest działalność? Czy wliczać w nią pracę w szkole? Pracuje społecznie lekarz? Prokurator?

Sądzę, że pisarz w obecnych czasach wyznacza swej pracy zawsze poważną funkcję społeczną, ale im więcej pracy autonomicznej, nie powiązanej z działalnością społeczną i zawodową, tym, według mnie, lepiej. Należy walczyć z plagą literatury reportażowej i tzw. „społecznej", pisanej na zamówienie.

Samego siebie uważam za pisarza, łączącego pracę zawodową i społeczną z problemami literackimi w stopniu bardzo silnym.

Byłbym nieszczery, gdybym powiedział, że mniej sobie cenię ładnie napisaną rozprawkę niż wiersz czy nowelę. Ale sprawa hierarchii rodzajów literackich to co innego. Cała moja uwaga skupia się wokół poezji. Przecież to sprawa **autentyzmu.** Wydałem 5 tomików poetyckich i znany jestem w tej chwili głównie jako poeta - liryk. Wypada mi przeto poezję postawić najwyżej. Tę samą niemal skalę wartości przyznaję powieści i swoim nowelom.

Dookoła poezji i prozy organizuję studia krytyczne o autentyźmie i o motywach literackich, a studia i rozprawki z zakresu historii i etnografii postawić mi wypada najniżej, z żalem.

O tym, jak stałem się poetą i pisarzem, może jeszcze kiedyś napiszę. To długa historia. Na to złożyło się dzieciństwo wśród pól chłopskich, wpływ ojca, emigranta, wojaka Szwejka i organisty wreszcie, gimnazjum, pobyt w seminarium duchownym i ucieczka w sutannie, uniwersytet, pobyt na froncie w r. 1939, wędrówka po kraju, partyzantka, słowem: wiele studiów, wiele, wiele przeczytanych książek, wiele, wiele dramatycznych przejść.

Z książek swoich najwyżej oceniam tom wierszy „Jej Wielki Wóz", który ukazał się w ostatnich dniach w sprzedaży. Jest to wydanie zbiorowe, cały mój dorobek poetycki z lat od 1933 do 1947 r., pełnia **ożogowska.** Spodziewam się, że krytyka dużo będzie pisać. Może to najlepsza pozycja bibliograficzna powojenna na polu poezji?

Wobec rozplenienia się reportażu lirycznego, stosowanego przez tzw. awangardzistów (Przyboś, Różewicz i S-ka) radzę poetom zwrot ku odzie, poematowi, pieśni, dumie, elegii, trenowi, dytyrambowi.

Prozaików należałoby zachęcić do pisania powieści historycznych. Nie ma powieści o rotmistrzu chłopskim Michałku i o udziale chłopów polskich w walce z potopem szwedzkim, nie ma powieści o Pyrzu, o Wielgosie. Niech by się ktoś pokusił o upoetyzowanie wyprawy Batorego czy wyprawy Żółkiewskiego na Moskwę.

Może kogoś zainteresuje los robotnika polskiego w Ameryce. Pięknych rzeczy można się dowiedzieć o naszych chłopach w Stanach Zjednoczonych czy Brazylii. Kto słyszał o chłopie — wynalazcy Józefie Lisku?

„... gdzie pędzisz kozacze?"

Wypowiedź J. B. Ożoga w ankiecie „Życie i praca pisarza" stanowi deklarację poety-autentysty. Do dyskusji jaka się toczyła w „Kuźnicy" i „Wsi"*) na temat autentyzmu wnosi ona nie tyle nowy materiał, co potwierdzenie przez autora szeregu poglądów, jakie mu krytyka przypisywała i wytykała. Ożóg hołduje takiemu rozumieniu pojęcia narodu, które powstaje po wyselekcjonowaniu wszelkich elementów, jakie w historii i współcześnie weszły z zagranicy w życie naszego kraju. Taka koncepcja narodu każe mu włączyć się w nurt badawczy paleontologii i etnografii polskiej. Tu — rozumuje — znajdzie czystą **istotę narodu.** Prof. Moszyński powiedziałby mu, że życie najdawniejszych Słowian „polskich" kształtowane było w systemie kultury ogólno - słowiańskiej i pod wpływem wyżej zorganizowanej kultury południowej Europy. Profesor Krzyżanowski wykazał na motywach bajek i legend ich wędrowny i z biegiem historii kosmopolityczny charakter. Ożóg jest jednak uparty i pragnie odkryć społeczeństwu Żeromskiego najcenniejszego dla narodu w roli... paleontologa i geologa. Zbiera drzeworyty, wycinanki i gwarę z rodzinnej wsi, wykreśla jej gramatykę, pisze monografię wsi i muzeów, w przekonaniu, podobnym jakie żywił Popławski przed pół wiekiem, iż nie pamiątkami będą i przedmiotem wiedzy o historii minionej kultury wsi, ale **zniczem dla rozpalenia czystej kultury narodowej.** Zatrzaskuje drzwi od hałasów Europy. Precz z „izmami". Wszystko jedno czy to będzie Lenin, czy Sartre. Zwalnia się od odpowiedzi na pytanie: czy jest możliwe, aby dzieje Polski można było wyznaczać dowolnie, nie na liniach światowych napięć politycznych i społecznych? Odciąga pisarzy od „babrania się w socjologii", i proponuje im dumy, ody, elegie, treny, jakby rodzaje literackie rozwijały się dowolnie, bez determinant społeczno-historycznych. Rodzaje, jakie proponuje, wyznaczone są wyobraźnią sentymentalno-agrarną, podobnie tematy powieści o chłopach w historii. Tu przybywa szlacheckiemu równy patos imperializmu po staremu.. na wschód. I to wszystko razem wieńczy żądanie większej autonomii dla pracy pisarza, nie związanej z działalnością społeczną. „Pełnia ożogowska" jak sam nazywa swoją zbiorczą książkę poetycką. „Jej Wielki Wóz", stanowi przy takim rozumieniu kultury i narodu, w jego przekonaniu, szczyt wieszczej poezji narodowej.

Co o tej megalomanii zaściankowo - narodowej i własnej autora sądzić? I jak mu ją wybić z głowy dla jego dobra? Po sąsiedzku, niechże on i czytelnicy przeczytają wypowiedź S. Skulskiego. Czekamy na głosy czytelników. Mają wszak oni prawo dać ocenę „życia i pracy pisarzy", jakie ci czytelnikom przedstawiają.

J. A. Król

*) R. Matuszewski — „O autentyzmie, autentystach i co z tego wynikło?" „Kuźnica nr. 28 -1946 r. St. Lichański — Nie taki diabeł czarny (o autentyźmie, autentystach i ich krytykach słów kilkoro) „Wieś" Nr. 33 (61); Kałużyński. Sobierajski — „Elementy pieśni ludowej u Frasika", „Krajobraz wiejski w poezji Frasika" „Wieś" Nr. 37 (65): W. Kiwilszo — „Poezja naturalizmu i egotyzmu" — „Wieś" Nr. 49—50 (128—129).

Seweryn Skulski

NIE „ŁAPI - CHŁOP"!



Seweryn Skulski

Już od osiemnastego roku życia, skoro tylko zacząłem obserwować życie wsi i miasteczka, poczułem w sobie chęć pisania. Pierwsze rzeczy, jak wiersze i korespondencje do gazet, były słabe i wodniste, jak mówił A. Paryski, wydawca i naczelny redaktor „Ameryki — Echa". Obcinał je i drukował tylko z tego powodu, że przeczuł „żyłkę", która kiedyś może wypłynie wartkim strumieniem.

Z roku na rok prace moje wygładzały się. Początkowo byłem bardzo skrajny i zgryźliwy. Każdą niesprawiedliwość społeczną skazywałem bez sądu, nie licząc się z tym, że aby świat zmienić trzeba uświadomienia społecznego i dobrej organizacji. Pisałem wiersze i luźne pogadanki z codziennego życia, antykapitalistyczne, antyklerykalne i anty łapi - chłopskie. Porozrzucane to zostało w rocznikach „Ameryki - Echa", „Gwiazdy Polarnej", „Muchy" wydawanej w Detroit, w „Głosie Robotniczym" i często w innych, w latach 1916—1922.

Po roku 1922 przez przeciąg lat sześciu z górą pisałem tylko do „Gwiazdy Polarnej", która mi oddawała tyle miejsca ile chciałem. Łamy tej gazety zapełniałem wynurzeniami tęsknoty za krajem ojczystym i wierszami miłosnymi, podpisując się Seweryn. Pisałem jednocześnie prozą do tej gazety lekkie humoreski, nowelki pod pseudonimem **Naturalny.** Moim piórem **Dziadek Safanduła** ośmieszał co tydzień ciemnych, chciwych i głupich.

Z tych lat pracy dla „Gwiazdy Polarnej" uważam za najcenniejsze tak zwane „Melodie Ziem Polski". Były to wiersze i piosenki na melodie ludowe o nowych społecznie tekstach, które bardzo się czytelnikom „G. P." podobały, boć czytelnik „G. P." to chłop.

Mogę dodać, że w tym czasie miałem więcej wielbicieli wśród czytelniczek, niźli pośród czytelników.

Niedawno zwróciłem się z prośbą do obecnej redakcji „Gwiazdy Polarnej", aby te „Melodie Ziem Polski" wycięli z rocznika i nadesłali mi w celu wydania. Odpowiedzi ani materiału nie otrzymałem. Posiadałem wszystkie moje prace z „G. P.", ale mi je wojna zniszczyła. Tak samo zaginęły opowiadania „Z Dnia" i „W Polsce".

Po odejściu z „Gwiazdy Polarnej" pracowałem dla „Ameryki - Echa". Nieboszczyk A. Paryski oddawał jedną stronę każdego tygodnia przez lat dziesięć do mojej dyspozycji i tej stronie dał tytuł „Rymy Dziadka Safanduły". Dla „Ameryki - Echa" piszę jako Jantek Socha. Paryski będąc sam już niemałym kapitalistą, boć sam gmach jego wydawnictw przedstawiał wartość pół miliona dolarów, a był on przy tym współudziałowcem banku „Opieka" i współwłaścicielem fabryki rękawiczek, nie pozwolił mi na krytykę bezpośrednią systemu kapitalistycznego, zato życzył sobie, abym był antyklerykałem i anty - papistą. Tak udawał postępowca tradycyjnym zwyczajem od dnia założenia pisma, bo na tym robił interes.

Ja nigdy nie byłem klerykałem ani papistą, łatwo mi zatem było w każdym numerze coś według potrzeby wydawcy napisać, ale uwaga moja prawie cała była pochłonięta walką polityczną i gospodarczą. Należałem do kilku organizacji robotniczych, kółek oświatowych i zrzeszeń narodowych. Chodziłem na wiece i zebrania, poznawałem typy ludzi, ich dobroć, hipokryzję, szczerość i udanie. Doszedłem do wniosku, że człowiek rodzi się ani zły, ani dobry, to tylko system wyzysku, chciwości, kłamstwa i obłudy czyni człowieka złym.

Wielu czytelników nadsyłało mi listy z podziękowaniem i z ciekawości, jak się nazywam i gdzie jestem. Paryski tych listów nigdy mi nie pokazał. Dopiero redaktor Tomasz Kazak poufnie go zdradził.

Obracałem się wśród ludzi, którzy przez lat osiem czytali „Amerykę-Echo", a nie wiedzieli, że czytają moje prace.

Nigdy w redakcji ani przy biurku nie pracowałem. Pracowałem w fabryce, w wielkiej kuźni przy operowaniu młotem parowym, a potem jako metalowiec w fabryce wyrabiającej części metalowe do aparatów radiowych, to znów jako giser w odlewni. Wielkie fabryki, masy ludu pracującego, rozognione piece, zgrzyty i gwizdy, zebrania robotnicze i walka klasy pracującej były mi bodźcem do pisarskiej pracy twórczej. Po dniu spędzonym w fabryce, przy świecie zamykałem się w niedużej wynajętej stancyjce, w której całym umeblowaniem było łóżko, jedno krzesło i lichy stolik. A moim majątkiem była walizeczka, ubranie codzienne i świąteczne. W jednym rogu kupa książek na podłodze, a w drugim kupa gazet. Czasem i parasol miałem na własność. Wieczorem do późna w nocy czytałem i pisałem, a znajomi i ludzie, u których byłem, dziwili się mojemu trybowi życia.

Już rok mija od czasu, gdy napisałem do obecnych wydawców „Ameryki-Echa", aby mi raczyli nadesłać te moje stronice z lat dziesięciu, bo wiem, że z każdego wydania Paryski odkładał kilka numerów. Do dziś nie nadesłano mi ich, ani nie odpowiedziano. Po sfaszyzowaniu się tego pisma, widocznie dzisiejsi jego wydawcy — dr Rosiński i T. Paryski nie życzą sobie, aby dziś ukazało się to, co dawniej drukowali, bo byłoby to sprzeczne z dzisiejszą ideologią wydawców.

Interesującą mnie teraz problematyką jest czas obecny, dzień w którym żyjemy, jego wypadki i zadania. Tak jak dawniej w Ameryce — ulubionym moim zajęciem jest obserwacja ludzi, z którymi się spotykam, których widzę i słyszę.

W projekcie mam cały szereg opowiadań, wspomnień z przeżyć na ziemi amerykańskiej w ciągu lat dwudziestu pięciu. Chciałbym w tych opisach dać obraz stosunków społecznych w masie ludzkiej, pełnej wyzysku, zła, dobroci i szlachetności. Chciałbym żeby mi się to udało. Mieszkam i pracuję na wsi. Należę do kilku organizacji społecznych, uprawiam gospodarkę siedmiohektarową. Każdego wieczora do późnej nocy czytam i piszę, jeżeli nie idę na jakieś posiedzenie. Święta i niedzielę to także dnie intensywnej pracy. Najwygodniej mi się pisze, gdy już śpią wszyscy domownicy, a gdzieś daleko odzywa się ujadanie psów lub wiatr i deszcz za oknem gałązki jabłoni porusza.

Mam sadek około 300 drzew, którymi poza pracą w polu troskliwie się opiekuję.

Nie tylko, że nie mam czasu na to, aby być pisarzem zawodowym, ale gdybym usiadł na cały dzień przy biurku — nic nie napiszę. Gdy napracuję się na polu przez dzień cały, pracy mi ubywa, wieczorem z zadowoleniem piszę listy, korespondencję do siedmiu pism, wiersze i opowiadania.

A może ciekawi kogo jak chłopski pisarz dziś zarabia?

W 1947 r. zarobiłem w Polsce 39,580 zł., Pisma jakie opłacałem w tym roku, to: 2 dzienniki, 3 dwutygodniki, 15 tygodników i 7 miesięczników kosztują mnie 36.000 zł. z książkami, jakie nabyłem tego roku. Przybory pisarskie i nafta jaką wypaliłem w tym czasie, tylko w swojej stancji, gdzie siedzę wieczorami, kosztuje mnie 4.200 zł.

Jeżeli ktoś ciekawy, ile mi z zarobku pisarskiego pozostało, to proszę zliczyć. A trzeba wiedzieć, że jeszcze nie nabyłem tych ostatnich wydań książek, które chciałbym mieć.

Nie jest jednak tak źle. Pisząc do pism pol.-am. zarobiłem konia i kilka paczek z obuwiem. Mam żonę upartą. Twierdzi, że na buty ze swojej gospodarki nie odliczy, bo co to za pisarz chłopski, żeby w Polsce na buty nie zarobił?

Mam pod ręką do wydania felietony w rodzaju „Onufrego Dyrdy" z bieżącej chwili i kilka z lat dawnych. Są nimi „Demokracja—Hobra", „Przedwrześniowcy", „Mc. Jones", „Obszarnicy w Piekle", „Nauczyciel", „Niezmordowani Oświatowcy", „Kaśka Kariatyda", „Gnida", „Prawdziwy Sen" „Herr Kwiatkowski", „Państwo Cyrany" i inne.

Przed wojną miałem maszynę do pisania. Starałem się obecnie o maszynę, aby sobie i redakcjom, względnie wydawcom pracę ułatwić, dowiedziałem się w przejeździe przez Warszawę, że taka maszyna kosztuje przeszło 50.000 zł, nie marzę więc, że będę ją posiadał. Trzebaby sobie odmówić większości pism i nowych książek.

Chłopski pisarz pisze dla chłopa. Aby brata chłopa zaciekawić własnym sobą — trzeba mu dać na razie to, co jest dla niego zrozumiałe. Opowiadanie, felieton, wiersze, nowelki z jego życia. Niech on tym **pomostem** przejdzie do ogólnej, narodowej literatury.

Bodźcem do tworzenia opowiadań, wierszy i felietonów jest mi prawda życiowa. Dołączając do tego szczyptę humoru, ta-

(C. d. na str. 7-ej)

*) Patrz: J. Falenciak „Moje pokolenie", J. Bieniek „Stancja za sklepikiem", „Wieś" nr. 48 (127).

Ze sztambucha „kultury ludowej"

PROTOKÓŁ ROZPRAWY PRZED SĄDEM WÓJTOWSKIM PYZDRSKIM 4 MAJA 1699 ROKU

Rozenblat: „Czarownica powołana", Kraków 1883

NOWE ATENY
ALBO
AKADEMIA
WSZELKIEY SCYENCYI
PEŁNA,
NA ROZNE TYTUŁY, iák ná CLASSES
PODZIELONA,
MADRYM dla Memoryału, IDIOTOM dla Náuki, POLITYKOM dla práktyki, MELANCHOLIKOM dla rozrywki
ERIGOWANA.
ALIAS
O BOGU, Bożkow mnoftwie, Słow pięknych wyborze,
Kwestyi cudnych wiele, o Sybillow zbiorze,
O Zwierzu, Rybách, Ptakách, ô Mátemátyce,
O Cudách Swiátá, Ludzi, Rządách Polityce,
O Językách y Drzewách, ô Żywiołách, Wierze,
Hieroglifikách, Gadkách, Národow mánierze;
Co Kray ktory ma w sobie dźiwnych Ciekáwośći,
Cáły Swiát opisány z gruntu, w Słow krotkośći.
Co wszystko iało się wielką pracą y własnym kosztem Autora [illegible] wyrażonego:
[illegible]
To iest przez Xiędza BENEDYKTA CHMIELOWSKIEGO Dźiekana Rohatyńskiego, Firlejowskiego y Podkamienieckiego Pasterza.

We LWOWIE
w Drukarni Pawła Iozefa Golczewskiego Iego Krolewskiey Mośći Uprzywileiowanego Typografa,
Roku Wćielonej Przedwiecznej Mądrośći 1745.

Ja, Kazimierz, Szymon, Piotr, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu: iż ta pracowita Anna z tejże wsi Wierzbocic Rataika jest prawdziwa i jawna czarownica, którą biorę na sumienie swoje, a co czynię nie z gniewu, nie z nienawiści, nie z zawziętości, nie z namowy, nie z przenajęcia, ale z samej wiadomości i sprawiedliwości, i cokolwiek mnie się i inszym ludziom z tego stało się, tylko przez nię. Jako i syna mego o śmierć przyprawiła. A że ta moja prawdziwa i nieomylna iest przysięga, też Annę Rataikkę po pierwsze, powtóre i potrzecie poprzysięgam i na sumienie swoje biorę. Z tego wszystkiego na strasznym Sądzie Boskim rachunek dać obiecuję. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący i Jego niewinna Męko.

Tak tedy po uczynionej przysiędze z podania mianowanych instygatorów taż pracowita Anna Ratajka wzięta jest na pierwsze tortury. Na których zeznać nie chciała, tylko wołała: Najświetsza Panno Mario — Najświętszy Sakramencie — Obrazie Studzieński. Potym do ludzi: Zmiłujcie się nad Najświętszą Panną i nad Najświętszym Sakramentem.

Item ex delatione Supradictorum Instigatorum.— (podobnie wskutek doniesienia wyżej wymienionych oskarżycieli) — tak pracowita Anna Ratajka tegoż dnia wieczorem wzięta jest na drugie tortury. Na których zeznała: że mię tego nieszczęśliwego uczynku czarowania nauczyła Łakomianka Jagna z tejże wsi Wierzbocic, tego roku we folwarku przed gody nauczyła mię czarować. Przyłudziła mię do siebie i przykrasiła do mnie szatana. Miałam z nim wesele takie, jako drugie bom musiała pomimo woli.

A przykazała mi, abym Pana Jezusa i Najświętszej Panny nie wspominała.

Bywałam na Łysy Górze ku Kaliszowi na Sobocie. Latałyśmy tam wszystkie razem: Jedna Jagata Łakomionka, druga Kaśka Lanijonka, trzecia Brodzina i ta kobieta od Brodzinej Ewa na imię; czwarta Bieta, córka jej: już, to one dawno umieją.

Item (podobnie) we wtorek z rana taż pracowita Anna Ratajka wzięta jest na trzecie tortury, na których zeznała: iż to wszystko potwierdzam com wczora powiedziała.

Nie zawiodę sumienia mego. Item (podobnie) jest tych czarownic nie mało prawie wszędy...

Item (podobnie) zeznała: żem sobie otruła dziecię, bo mi się z niem przykrzyło, dały mi drugie jakiegoś proszku i kazały mi podsypać i namowieły mię, żem je z sobą brała na Łysą Górę i tam je djabłu oddały i jak umarło, djabeł duszę brał, iam jego drugiego podjęła.

Item (podobnie) Jagna Korfunka z tejże wsi Wierzbocic chałupnica będąc od matki swojej diabłu oddana, mężowi swemu, aby do koni szczęścia nie miał, uczyniła, Kazimierzowi na dobytku i świniach szkodziła i dziecię tegoż Kazimierza o śmierć przyprowadziła. Cielę temuż zniszczyła.

Proszki z koszul trupich, z żab parszywych na różne nieszczęścia ludzkie z drugimi robiła. Deszcz, aby nie ożywiał ziemię, zatrzymywała, Łukasza syna Szymkowego z tego świata proszkiem załadziła, konie swoje własne przez swoje czarostwo zniszczyła. Matce męża swego dwoje cieląt zniszczyła. A co większa opisać, i straszliwa wymówić, niebo i ziemia się lęka i drży, Najświętszy Sakrament Ciała i Krwie Chrystusowej na odpuście w Biechowie dwie lecie na Najświętszą Pannę Nawiedzenia ukradła, na proszek spaliła, którym plon w zbożach odejmowała. Dość straszliwa i to nie mniejsza Boga się Twórcę i Odkupiciela swego także Panny Najświętszej Matki Chrystusowej, w której wszystka nadzieja każdego, i wszystkich świętych tak Anna jak i Jagata odprzysięgły, odstępiely i cale Boga o zbawienie swoje nic a nic nie dbając z nieba kwitowały, djabłów sobie zdrajcę i obłudników ludzi za opiekunów obrały, ich rady zdradliwej słuchały, z nimi sprawę miały i przestawały i to wszystko co im djabli kazali czyniely. Na Łysy Górze ku Kaliszowi na Sobótce bywały, nieszczęśliwe towarzystwo z drugiemi odprawowały, bankietów tamże i tańców zażywały.

A ponieważ omnis potestas a Deo (wszelka władza od Boga) itd. — niesłuszna tego rzecz, ażeby złe a niecnotliwe sprawy nie miały być karane według prawa Speculo Saxonico secundo art. 13. (Zwierciadło Saskie—zbiór praw, używany powszechnie w Polsce w sądach miejskich i wiejskich). —

Tedy sąd poważny teraźniejszy gajny wójtowski pyzdrski za takie złe i niecnotliwe sprawy czarowania, ich Boga odstąpienie a djabła słuchanie, dekretem swoim i zgodnymi sentencjami nakazuje, aby z tego mizernego świata, jaka robota taka zapłata ogniem były zniesione i w cale na stosie spalone. Zachowując tę kondycję Jagacie, aby wprzód ręce obydwie jej po kikut smołą i siarką polane wzgórę wyniesione i tak gorzały za to, iż się ona rękoma ważyła dotykać Najświętszego Sakramentu, a to na ukaranie wszystkich ludzi, aby się złego wystrzegali, a do dobrego pobudkę mieli.

Pod tenże dekret i karanie pracowite Katarzyna i Regina podpadają albowiem one takież są i to czyniły, jako się niżej pokaże, gdyż Katarzyna przez pracowitego Macieja w ten sens, jako niżej opisano, jest poprzysiężona. Pracowita zaś Regina przez pracowitych Wawrzyńca, Macieja i Kazimierza są przysiężone.

Przeto i te według prawa wyżej opisanego, aby były na stosie ogniem spalone.

Z tem wszystkiem niech idą na straszny Sąd Boski i tam liczbę dadzą ze wszystkich swoich spraw, a teraz tobie, mistrzu te wszystkie cztery Annę, Jagatę, Katarzynę i Reginę sąd w moc oddaje, ty czyń z niemi wyrok według dekretu i prawa Bożego.

Kto jest istotnym sprawcą tego naniebnego procesu i wielu innych odbywających się ówcześnie?

Czy pozywający lub głupi wójt i jego ławnicy?

Czy też raczej ci, którzy zapełnili świat demonami, każąc dziś jeszcze wierzyć w ich istnienie ludziom prostym?

A może chcecie znać imiona diabłów i dowiedzieć się o ich sposobie opętywania, a wszystko z powołaniem się na najbardziej miarodajne źródła?

Wiedzy tej możecie zaczerpnąć z dzieła jednego z tych, którzy ją stworzyli, autora encyklopedii głupstwa, popartego autorytetem Kościoła, **„Nowych Aten"** księdza Benedykta Chmielowskiego, reprezentanta oficjalnej wiedzy w Polsce saskiej opanowanej przez jezuitów.

Józef Pogan

DWIE POSTACIE

W powieściach przedstawiających życie wsi z ostatnich lat ubiegłego stulecia lub z pierwszych obecnego — spotykamy często dziwne postacie, które obecnie można uważać za zanikający już okaz dawniejszego człowieka. Niektóre są już prawie na wymarciu, inne plątają się jeszcze dość licznie, choć znaczenie ich i wpływ na otoczenie coraz bardziej maleje.

Do takich zanikających okazów człowieka należy bezsprzecznie postać „kościelnicy" — Józefa Mortona w „Inkluzowym wianie" Postać ta utrzymywała się (nie wiem czy jednakowo we wszystkich regionach) jeszcze dość silnie w pierwszych latach obecnego stulecia. Ja na przykład zapamiętałem dobrze taką kobietę. Była tylko nieco innego typu i charakteru niż „kościelnica" Mortona, ale o podobnej teomanii, dręcząca nie tylko siebie, ale i swych najbliższych i swoje dzieci. Była to moja babka z linii matki. Zapamiętałem ją gdzieś od siódmego roku swego życia, wstępowała bowiem codziennie do naszego domu wracając z kościoła. Nie było to jakieś „próchno" jak inne babki: wysoka, barczysta i otyła, z twarzy jej biła jakaś powaga i pewność siebie. Wzdychała bezustannie wymawiając co chwila imiona Jezusa, Matki Boskiej i Wszystkich Świętych. W jednej ręce nosiła zawsze grubą książkę z której na pamięć umiała wszystkie modlitwy, drugą miała okręconą różańcem.

Babka uchodziła w naszym domu za świętość. Nie tyle z racji autorytetu w rodzinie, ile właśnie za pobożność. Babka zbyt wiele wtrącała się do praktyk religijnych naszej rodziny: zwracała uwagę na opuszczanie nabożeństwa, na nieodśpiewanie godzinek, różańca i innych modlitw czy pieśni. Zauważyła też źle postawioną pasyjkę na stole, brak lampki łojowej w piątek przed obrazem Matki Boskiej, brak medalików i szkaplerzy na szyjach itp. zaniedbania religijne. Niby to wszystko było w naszym domu przestrzegane, ale babka zawsze coś złego spostrzegła i straszyła piekielnym ogniem. Wnuczków, czyli mnie, braci i siostry „egzaminowała" często z pacierza i z katechizmu. A jeśli to było w piątek, w adwencie lub w poście — wtedy broń Boże roześmiać się przy babce czy zagwizdać.

Religijna „interwencja" babki miała często niemiłe skutki, ojciec z matką pokłócili się i pobili nieraz, a i dzieciom też się przy tym porządnie dostało. Bywało tym gorzej, że z jednej strony ojciec nie był tak pobożny jak matka, z drugiej zaś — nie mniej od niej lękał się piekła. Toteż po każdej „egzorcie" babki — to piekło zaczynało się w naszym domu.

— Na zatracynie pódo nase duse, za nase zycie i za złe wychowanie dzieci — wzdychała matka, poczynała szlochać i winić ojca za taki stan.

Wtedy bywało różnie, zależnie od humoru ojca: albo następował „kompromis" i chłostanie dzieci za różne „przewinienia", albo zażarty konflikt, kończący się przekleństwami i bójką.

Najgorzej już bywało, gdy rodzice wrócili ze spowiedzi. Wystarczyło wtedy, by dzieci posprzeczały się z sobą o zabawkę.

— Psiekrrr! — zgrzytał ojciec (bał się po spowiedzi wymawiać całkowicie to słowo) — jo za wos nie póde na wiecne potępienie! i grzmocił nas.

Gdy zanadto popadł w złość — matka poczynała nas bronić. Wtedy gniew ojca w nią uderzał.

— Ty jędzo! To roz godos, ze źle dzieci chowom, a drugi roz je bronis — klął i grzmocił matkę za tę „niekonsekwencję".

Dziś patrząc z odległości przeszło trzydziestu lat na nasze życie rodzinne, widzę jasno, że babka o wiele większy wpływ wywierała na rodziców, niż słowa księdza z ambony. Tam padały słowa ogólne, na przemian to o wiecznym potępieniu, to o wiecznej szczęśliwości, zaś babka samym tylko piekłem straszyła. Wygląda to na pewien paradoks, wszak „po spowiedzi rodziców bywało gorzej". Bo też i wtedy babka nie omieszkała dolewać oliwy do ognia.

Po śmierci ojca pogorszyło się jeszcze. Do przewinień dzieci o treści religijnej dołączyły się jeszcze dalsze grzechy natury gospodarczej. Zaś babka codziennie idąc z kościoła wstępowała z „morałami".

— Abyś ino nie zabiła, nie oślepiła i nie okulawiła — to bij, nie folguj dzieciom. Rózga nie zaskodzi.. odpędzo ochote do grzychu.., ocysco duse... Bij, zwozoj na duse, nie na ciało... miej zawdy w pamięci wiecny, piekielny ogień...

Skutki tego bywały straszne: starsi synowie (ja też, a jakże) nie pozwalali się niewinnie bić. Chwytali matce za mielak (przeważnie tym narzędziem usiłowała grzmocić synów) szarpali, że matka tylko „koziołki" fikała.

Wnet rozpierzchła się cała nasza rodzina na poniewierkę. Oprócz najstarszego brata, który otrzymał sądownie gospodarstwo — siedmioro nas poszło prawie na dziady. Wnet dwoje zmarło w dziecinnych latach po prostu z nędzy, dwaj bracia jako tako wegetowali w Zagłębiu Dąbrowskim pracując w większości w tak zwanych „bieda-szybach", zaś ja z dwiema siostrami z powodu szybkiego wyczerpania wątłego zdrowia i sił — znaleźliśmy się przed wojną i później blisko żebraczej ścieżki. To właśnie było owocem pobożnej nauki naszej babki. Wprawdzie i spokój rodzinny nie osłodziłby nam na przyszłość losu, bądź co bądź nie wpadlibyśmy na dno nędzy.

Tak to zazwyczaj się dzieje, gdy popadnie „klin w klinie" — jak mówi regionalne chłopskie przysłowie. Bo już sam ustrój społeczny był twardym „klinem" życia, a gdy jeszcze ktoś dodatkowo zaklinował — to już był śmiertelny cios.

Podobnych przykładów pamiętam wiele z terenu choćby tylko jednej wioski (a znam dokładnie wiele wsi) w okresie pierwszych lat obecnego stulecia. „Kościelnice i kościelnicy" wszędzie i znacznie odgrywali swą rolę. Nie brak ich i obecnie, choć co raz to mniej się pojawiają jako okazy zanikającego pielęgnowania ciemnoty. Upiór ten przestał już straszyć ludzi, ziewa tylko... dogorywując ostatkiem tchu.

Pokrewną postacią „kościelnicy", nieco względniejszą jest postać Macieja Boryny z „Chłopów" Reymonta. Utrzymuje się ona obecnie jeszcze jako tako, ale działalność jej straciła już sporo na sile; choć często przewodzi jeszcze gromadzie, ale to przewództwo jest siłą zdobywane, podstępem i w znacznej części popierane zaledwie znikomą ilością zwolenników. Autorytet tej postaci jest coraz to silniej podrywany przez dążących do postępu ludzi, którzy widzą w niej tylko niecnego prowodyra wsi, a nie jedynego „asa" jak Lipce w Borynie. Bo czymże naprawdę odznaczył się ów Boryna? Przecież jak i na owe czasy — niewiele działał społecznie. Autorytet we wsi miał tylko z racji posiadania trzydziestu morgów ziemi. A poza bogactwem był to przeciętny chłop. Wprawdzie był stateczny i poważny. Ale te cechy nie zawsze bywają wrodzone — są najczęściej przyswojone jako oznaka dumy i pychy posiadacza. Boryna w kiepskich warunkach życia byłby może łajdakiem. Już to nie dowodzi uczciwości, gdy jego pastuch, sierota Witek w listopadzie wcale nie miał butów. —

Boryna nie był też dobrym ojcem dla dzieci, nawet ich krzywdzicielem. On to właśnie wytworzył tę tragedię rodzinną. Jako dziwak, półgłówek „zawiązał" świat młodej dziewczynie, czego żaden rozsądny człowiek nie robi. A podpalenie własnego brogu zboża, by stopić w ogniu syna i żonę — to już zbrodnia.

Nie chodzi jednak o wewnętrzne usposobienie Boryny, o jego szlachetność czy podłość. To jest zgoła inne zagadnienie. Mamy w tej chwili przede wszystkim na myśli postępowość, czy zacofanie. I właśnie Boryna — to postać prymitywnego człowieka, dla którego jedyną ostoją życia jest tylko wieś, dostojeństwem bogactwo, a przewodnikiem — ambona. I takim też mniej więcej jest średniej miary charakteru dotychczasowy bogatszy chłop. Takim go też uplastycznił Reymont, choć z powieści wynika, że chciał go uświęcić. Oczywiście uświęcił go, ale pięknymi opisami, a nie bezpośrednim działaniem. Uwieńczył tę postać świetlaną aureolą, że nawet po śmierci z świętym Piotrem za pan brat sobie rozmawiał.

O ile Morton przedstawił obiektywnie postać „kościelnicy", o tyle Reymont kierował się konserwatywnymi względami. Bo brak obiektywizmu uderza w całości dzieła: każdy zamożniejszy chłop jest piękny, o szlachetnym wyrazie twarzy, stateczny, poważny, zaś biedniacy, rzemieślnicy i urzędnicy w mieście wyposażeni w wszelaką brzydotę, oszpeceni, kłamcy, nieuczciwi itp. (paskudny wygląd pisarza, (t. I, str. 97), kowala, zięcia Boryny i wielu innych... Tymi Reymont pomiata, nie przepuści winy, natomiast bogacza zdolny rozgrzeszyć za każde przewinienie. Rozgrzesza na przykład Borynę w rozprawie sądowej, twierdząc — „Boryna poczuł ogromną ulgę, bo chociaż nie był winien"... Takie rozwiązanie nie tylko każe posądzać autora o sympatię do pewnych postaci, lecz i osłabia zdolności artystycznego wyświetlenia sprawy. Takie momenty autor winien rozstrzygać tokiem akcji, a nie bezpośrednio własnym potwierdzeniem. Gdy np. w żywej akcji przeciwstawi się jednej postaci — drugą, wtedy autor automatycznie traci swobodę rozstrzygania sprawy swym dopowiedzeniem. Trzeba albo samej sprawie nadać rozwiązanie, albo w myśl bohatera wpleść usprawiedliwienie. Tymczasem autor biorąc w obronę Borynę, nie udowodnił całkowicie jego niewinności, dodajmy na obronę Reymonta — nie mógł.

Mając powyższe wywody na uwadze, dzisiejszy czytelnik tak pojmuje i osądza postać Boryny, jak ją autor uplastycznił, a nie według steku panegiryków. Postać Boryny tylko zaciekawia, a nie imponuje, jak tego pragnął Reymont. Nie imponuje też społeczeństwu dzisiejszy Boryna, zacofany prowodyr gromady. Choć jeszcze jest krzepki, ale pod wpływem postępu traci stopniowo na sile i może niezadługo spotka go los jego matki, pielęgniarki ciemnoty — „kościelnicy".

NIE „ŁAPI — CHŁOP"!

(Dokończenie ze str. 6-ej)

twiej się u czytelnika znajdzie wspólnika do zwalczania zła społecznego. Ostra i niby druzgocąca krytyka szkodnika społecznego, nie zawsze go zabija, bo i on ma swoje argumenty. W wierszu, opowiadaniu i felietonie pomału nić po nici odsłonimy go, dowcinkując odbierzemy mu u czytelnika nie tylko argumenty ale chęć do obrony swojej postawy.

Historia mojego pisarstwa jest prawie tak długa jak moje życie. Nawet okupacja naszego kraju przez hitleryzm nie była mi przerwą w pisaniu. Choć byłem na robotach przymusowych, zawsze miałem przy sobie choć mały ołówek i nieco papieru. Z tych czasów mam przeszło tysiąc wierszy, to znaczy piosenek po 4 do 20 zwrotek, dziś je przepisuję i przesyłam do „Gwiazdy Polarnej" która je chętnie zamieszcza.

W roku 1936 wyszła antologia poezji pol.-am. mnie włączyli do działu poetów społecznych i uczuciowych.

W roku 1922 wydałem swoje wiersze w liczbie 5.000 egz. W dwa lata potem „Gwiazda Polarna" wydała obszerniejsze, bo o 220 stronicach. Następnie „Ameryka - Echo" wydała wiersze: „Piosenki Moje" o 360 stronicach, ilość egzemplarzy nie jest znana. Wszystkie wydania są wyczerpane.

Wiem, że pisarstwo moje było potrzebne moim nieznanym rodakom.

Większość moich rodaków była w Ameryce wierzącymi i pomimo że mnie nigdy w kościele nie widzieli, ksiądz idąc po kolędzie, mieszkanie moje omijał, ale oni i tak wybierali mnie do różnych komitetów za sekretarza, skarbnika, wiedząc, że zawsze robotę wykonam ku ich zadowoleniu. Gdy na wiecach oponowałem przeciw hipokryzji i oszustwom politycznym, szli po mojej stronie bo i pisarstwo moje klikom ani kombinacjom nie służyło, dlatego może do Polski przyjechałem jako chudy korespondent „Ameryki-Echa", gdzie mnie wojna zastała.

Chłopom i pisarzom polecałbym opracowywać nie tylko swoje życiorysy. Tu potrzebny jest rzeczywisty życiorys całej naszej wsi od mroków średniowiecza do Majdanka i Reformy Rolnej.

Dobry jest Pogan, dobry Gałaj, ale to jeszcze ugory i surowiec, z którego oni sami albo inni pisarze chłopscy powinni budować książki, które tak będą czytane, jak myśmy czytali kiedyś trylogię Sienkiewicza, a z której niestety potem z trudem trzeba było się wyzwalać. Mnie pomogła moja sytuacja życiowa chłopa - emigranta, towarzysza robotników fabrycznych.

Seweryn Skulski

FAKTY I ZDANIA

Monachium Antwerpia, Blum

Konferencja 18 partii socjalistycznych, jaka się odbyła przy końcu listopada i na początku grudnia 1947 r. w Antwerpii odkryła prawdziwe oblicze prawicy socjalistycznej. Inspiratorem i wodzem duchowym (choć nieobecnym na zjeździe) zjazdu odbytym pod protektoratem p. Bevina (a zapewne i Schuhmachera) stał się Leon Blum. Konferencja mimo sprzeciwu delegacji socjalistów polskich, włoskich i węgierskich przyjęła inspirowaną przez Bluma rezolucję w obronie planu Marshalla. **„Socjalizm międzynarodowy — pisze Blum — może już teraz stanąć na czele wielkiego ruchu opinii publicznej, ruchu, który nadawałby kierunek inicjatywie amerykańskiej zamiast ją odpychać".**

Jaśniej nie można się wyrazić. Ostap Dłuski oceniając wyniki konferencji pisze w „Głosie Robotniczym" (Nr 2), że konferencja odsłoniła nici, jakie wiążą prawicę socjalistyczną z międzynarodową reakcją. „Konferencja ujawniła — pisze Dłuski — że prawica socjalistyczna jest zjawiskiem międzynarodowym o określonej treści społecznej i określonym zadaniu politycznym. W walce, jaka się toczy dzisiaj na arenie światowej między obozem pokoju i niepodległości narodowej a obozem imperialistycznej agresji i abdykacji narodowej, między postępem a reakcją, prawica stanęła po stronie reakcji.

Konferencja odsłoniła źródła, z których prawica międzynarodowa czerpie swe natchnienie, odsłoniła nie tylko teksty uchwał, ale również właściwych autorów tych uchwał: imperialistów amerykańskich".

Dlaczego socjaliści polscy głosowali przeciwko uchwałom antwerpskim? I dlaczego tym samym przeciwko Blumowi?

1. Blum jest współautorem starego Monachium, które oddało Czechy na łup Hitlera,

2. Blum jest projektodawcą nowego Monachium (organ Bluma „Populaire" — przedrukowuje bez komentarzy uchwałę partii Schuhmachera, skierowaną przeciwko zachodnim granicom Polski).

3. Blum jest wrogiem Polski Ludowej (nawiązując kontakty i przyjmując Schuhmachera do „rodziny" socjalistycznej) oraz zdrajcą socjalizmu, stając się rzecznikiem trustów i karteli amerykańskich, na rzecz których propaguje **„ograniczenie suwerenności"** narodów. (najnowsze hasło Bluma), co ma być z kolei **„miarą pacyfizmu danych narodów"**.

Zapytujemy, w takim razie, po co była komedia z procesem Petaine'a?

Krzysztof Martyński

Brytyjska pamięć

Znana jest brytyjska pamięć o wojennych sojusznikach w okresie pokoju, o ofiarach przez nich poniesionych wtedy, gdy ofiary te są już niepotrzebne Imperium.

Ostatnio notujemy jeszcze jeden dowód pamięci brytyjczyków. Tym razem dotyczy on przemysłu.

Biuletyn Informacyjny Ambasady Brytyjskiej w Polsce przypomina o udostępnieniu przez W. Brytanię swych wynalazków w okresie wojny sojusznikom, co wydatnie przyczyniło się do zwycięstwa, ale zarazem wzmogło obecnie trudności ekonomiczne W. Brytanii, ponieważ wiele z tych wynalazków posiada wybitne znaczenie w przystosowaniu do celów pokojowych, a przecież, gdy zniknęło śmiertelne niebezpieczeństwo ważne są dolary, jakie można by uzyskać ze sprzedaży tych wynalazków (np. siła popędowa radaru, DDT i penicylina).

Te właśnie stracone dolary są dla brytyjczyków większym tytułem do chwały, niż myśl o ludzkości, której brytyjskie wynalazki mogły ułatwić życie lub uratować tysiące istnień. A to przecie należało się chyba narodom. Jeśli brytyjskie wynalazki stanowiły wkład w/g słów Roosevelta, na co powołuje się biuletyn — wprost bezcenny i przewyższający wszelkie obliczenia pieniężne, to cóż dopiero należałoby powiedzieć o ludzkim wkładzie sojuszników W. Brytanii. Mają oni moralne prawo do bezpłatnego użytkowania wynalazków brytyjskich i z prawa tego Brytania zdawała sobie sprawę w okresie wojny, gdy propagując wśród społeczeństwa swego przyjaźń z ZSRR posługiwała się afiszem, na którym wyobrażony był czołg i człowiek z następującym napisem: „Wyprodukowanie czołgu wymaga 18 miesięcy, wyprodukowanie człowieka 20 lat".

Czyżby już o tym całkiem zapomniano?

I jeszcze drobiazg. Ten sam biuletyn mówiąc o brytyjskich sukcesach powojennych w budowie okrętów i nadmieniając m.in. o zastosowaniu techniki spawania zamiast dotychczasowego nitowania, nie wspomina z czyich to doświadczeń korzysta brytyjski przemysł w tej dziedzinie. Ciekawego czytelnika możemy odesłać do polskich fachowych pism przedwojennych.

Jonatan Remember

List świąteczny od Starosty stopnickiego

Obywatelu Redaktorze!

W roku 1948 postawiłem przed administracją jako zadanie: gazeta bloku demokratycznego w każdej chłopskiej chacie. do czerwca br. mamy wykonać.

* * *

Uruchomione wiercenie głębokie w Solczy w poszukiwaniu ropy naftowej. (Maszyny pracują, satysfakcja popatrzeć).

* * *

Kończymy budowę linii telefonicznych, każda gmina w rb. będzie miała telefon, wykonano 50 km linii telefonicznej w rb.

* * *

Definitywnie zlikwidujemy pobór podatku gruntowego w rb., za ubiegłe lata mamy 1135 ton zboża (Sukces, co?)

* * *

Wprowadziłem powszechne nauczanie na terenie powiatu na tematy gospodarcze. Broszurę z lekcjami Wam przyślę.

* * *

Budujemy fabrykę gipsu.

* * *

W trzecim kwartale 1948 r. chcemy uruchomić dwie cegielnie polowe.

* * *

W roku 1948 chcę mieć 10 punktów telefonicznych na wale Wisły, celem usprawnienia obsługi podczas roztopów Wisły, a to, N. Korczyn, Pawłów, Błotnowola, Garchocin, Oblekoń, Kępa Lubawska, Żabiec, Gace, Słupiec i Budziska. Z telefonów tych będą korzystać sołtysi.

* * *

Kupiliśmy samochód ciężarowy do wożenia kamienia na drogi.

* * *

Na ulicę w Busku Zdroju mam 8 mil. zł na założenie jej kostki na cemencie.

* * *

Szkoła spółdzielcza w Śladkowie Dużym będzie miała telefon. Chłopi dali po jednym słupie tel. (120 szt.).

* * *

Zorganizowałem 5 komitetów elektryfikacji wsi. Razem wsi 9. Forsa już jest.

W Chmielniku już mają światło elektryczne.

* * *

Chłopi walą kamień na drogi — przyjemność patrzeć.

* * *

Poszukiwania skarbów ziemi dały rezultaty: w Busku woda +17 st. C (jodowe), przez samoczynny wytrysk temperatura się podniosła do +27 st. C.

Glinę białą do wyrobu porcelany w Zborówku, gm. Pacanów (duże złoża).

Węgiel w gm. Szczytniki.

* * *

Poszerzone i poprostowane w tym roku drogi — gm. Maleszowa, Oględowa i Pawłowa; proszą o resztę robót (12 m szer.).

Odbyły się kursy: pszczelarski, przodowników gminnych.

* * *

P. R. W. ma 57 punktów nauczania i 22 świetlice.

* * *

Otwarto świetice gminne w Kamienieniłotach gm Oględów (biblioteka, radio itp.).

* * *

Dn. 21.12 47 r. otworzymy do użytku publicznego bibliotekę w każdej gminie.

* * *

Uczymy: w szkołach powszechnych (132 szk.) 19 tys. dzieci. W Gimn. i Lic. w Busku 800 dzieci, w Liceum Pedagogicznym 174 ucz. **Za 4 lata będzie dość nauczycieli.** Gimn. Handl. w Pacanowie 190 ucz., w szkołach Rolniczych i Zawodowych około 2.000 młodzieży.

* * *

Za dziesięć lat będę miał dość ludzi do wykonania każdego zadania. Z wyjątkiem lekarzy i inżynierów.

* * *

Dla dwóch uczniów studiujących medycynę mamy zapomogi.

* * *

Zasadniczo poprawiło się u nas na każdym odcinku życia, nie można powiedzieć, że jest dobrze, bo jest jeszcze kupa nędzy.

* * *

Kończąc te zapiski, zasyłam Wam, ob. Redaktorze życzenia owocnej pracy w roku 1948.

St. Wyka

Panowie szlachta i konne tramwaje

Benedykt Hertz snując wspomnienia o dawniejszej Warszawie („Na taśmie 70-lecia", Nowiny Literackie Nr 40/41 z 1947 r.) pisze, że po ukazaniu się gdzieś w osiemdziesiątych latach ubiegłego wieku konnych tramwajów, konduktor tego środka komunikacyjnego był przez pewien czas figurą chętnie braną na języki. Miało to pozostawać w związku z najazdem na Warszawę zubożałej szlachty, gdy zaczęło na dobre skutkować uwłaszczenie chłopów i gdy wielu zbankrutowanych dziedziców bez jakichkolwiek kwalifikacyj zawodowych chwytało się tego zajęcia.

Autor wspomnienie to opatruje następującą uwagą: „Uznali jednak (nie wiem właściwie dlaczego) stanowisko konduktora tramwajowego za... niehańbiące. Widocznie przypadła im do gustu rola gospodarza wehikułu i pełnili ją z władczą godnością, co dawało asumpt kpiarzom do złośliwych żartów".

Ciekawe byłoby usłyszeć od Autora jakiś konkretny żart na ten temat, bo było ich rzeczywiście wiele, a zwłaszcza o tej „władczej godności", która objawiała się tym m. inn., że konduktorzy ówczesnych warszawskich tramwajów konnych np. nie wydawali, z zasady, reszty brodatym pasażerom żydom, wszystko jedno jaka kwota by to nie była. Nauczeni doświadczeniem upośledzeni pasażerowie poczęli uiszczać zapłatę za przewóz w dokładnie odliczonej monecie. Skutki tej przezorności tragicznie dezorganizowały komunikację tramwajową w Warszawie. Przychodziło bowiem do sytuacyj, że konduktor w pewnej chwili oświadczał, że jeżeli nie dostanie natychmiast po ileś tam kop. „od brody", to każe woźnicy zawrócić, choćby to była połowa drogi. Zdarzało się, że po krótkim targu osiągano porozumienie i „konny" ruszał w dalszą podróż, ale bywało znów, że woźnica wyjeżdżał z szyn, przemanewrowywał wozem po „kocich łbach", wjeżdżał na szyny z powrotem, ale już w odwrotnym kierunku, i truchcikiem podążał do stacji wyjściowej.

Nie mogę pogodzić się z twierdzeniem Autora, że ci konduktorzy rekrutowali się z grona dziedziców-bankrutów. Byli to raczej wykolejeni „oficyjaliści" dworscy, jako tako piszący i czytający, oraz „drążkowi szlachcice", Podlasiacy uciekający od wiejskiej nędzy do miasta, tak samo jak wielu chłopów i folwarcznych w tej epoce. Zawód konduktora tramwajowego zawsze był ciężki, a wtedy dopiero, więc cóż mówić tam o byłych i niekwalifikujących się absolutnie do niczego dziedzicach. Inna rzecz, że na owe czasy każdy w Warszawie „strugał pana" jak mógł tylko, według obowiązującego zwyczaju.

Woźnice tramwajowi rekrutowali się za to bez wyjątku z byłych fornali dworskich. Nazywano ich „dzwońcami" (od dzwonka ostrzegawczego), za co się obrażali. Na ogół stroniono od tej pracy, trwającej po 12 godzin na dobę, i nawet zajęcie „czarnoszyjca" noszącego wapno i cegły uważano za godniejsze, popłatniejsze oraz lżejsze. Opowiadają, że większość z nich dostawała się do służby w warszawskim towarzystwie tramwajów konnych na skutek wybiegów i podstępów agentów tego towarzystwa, którzy upijali najpierw upatrzonego kandydata pod pozorem serdeczności (była znana z tego jedna knajpa w Mokotowie „Pod Tramwajem"), a ten trzeźwiał już w czapce tramwajarskiej na głowie, gdy agent dawno uszedł z podpisaną trzema krzyżykami umową w kieszeni.

Trzeba zaś wiedzieć, że zerwanie umowy było potem praktycznie niemożliwe ze względu na rygory policyjne, przysługujące pracodawcy na zasadzie ustawodawstwa antystrajkowego.

J. Falenciak

Wychowanie uspołeczniające

„Życie Szkoły" zamieszcza na pierwszym miejscu w grudniowym numerze artykuł Louis Meylana, profesora pedagogiki na Uniwersytecie w Lozannie. Artykuł jest odpowiedzią na pytanie ankiety przeprowadzanej przez „Życie Szkoły": „Które problemy pedagogiczne uznaje Pan za najbardziej aktualne i ważne w dobie obecnej"?

„Redakcja naszego miesięcznika stwierdza, że nie godzi się na wszystkie sformułowania szwajcarskiego profesora, widzi jednak w jego poglądach odbicie „ery przemian"

Zobaczymy, jak wygląda nowoczesna pedagogika w kraju znanym z tradycyj eksperymentalnych na polu pedagogiki.

Profesor Meylan twierdzi, że stoimy na progu nowej formy cywilizacji, mianowicie cywilizacji chrześcijańskiej. Pokolenie, które ją osiągnie w większej mierze niż poprzednie obdarzone być musi uspołecznioną osobowością. Podobnie jak papież w swym świątecznym orędziu sądzi Meylan, że świat nowoczesny przedstawia chaos. Wyraża jednak nadzieję, że niebawem zapanuje na jego miejscu duchowy ład i harmonijne współżycie ludzkich osobowości.

Dlatego też zawczasu należy uspołeczniać ludzi, rozwijać raczej „umiejętność postępowania, inicjatywę i duchową odwagę niż samą uczoność, a ponadto zasadę solidaryzmu— dążąc do pielęgnowania ducha usłużności w tych istotach, które w przyszłości mają się stać osobami do złączenia ich w istotne społeczeństwo".

Charakteryzując nową szkołę żąda Meylan, aby była ona „szkołą czynną". „Szkołą czynną jest w istocie taka szkoła, w której nauczyciel spełnia akt obecności człowieczeństwa i w której również młodzież przygotowuje się do wymagań swego powołania". Dalej pisze Meylan o zadaniach nauczyciela. Nauczyciel sam winien żyć życiem szeroko i głęboko ludzkim, aby „wysubtelniać w dzieciach wszystkie odcienie ducha: zmysł praktyczny i zmysł naukowy, ducha służby i taką formę wrażliwości oderwanej od bezpośredniej interesowności, jaką jest kontemplacja estetyczna i to poczucie, które jedynie zdoła umieścić w „swoim miejscu" wszystkich innych, albo ich ocenić: owo poczucie religijne życia i jego porządku, dzięki któremu znikoma istota staje się trzcinowym fletem, który wygrywa boską Pieśń".

Już z tych przytoczeń widać, że pedagogika Meylana jest zwykłym i niemłodym personalizmem chrześcijańskim, który pożyczył sobie od innych systemów przymiotnik: uspołeczniony. W pedagogice Meylana młodzież nie jest jeszcze częścią społeczeństwa, nie jest jeszcze czymś gotowym. Szkoła jest cieplarnią przeznaczoną do hodowli przyszłych istot ludzkich uspołecznionych. Przygotowanie do życia w społeczeństwie odbywa się w izolacji od niego, wobec czystych, bezinteresownych „aktów człowieczeństwa".

Cudowny ład chrześcijański, jakiego spodziewa się niewiadomo od kogo pedagog **szwajcarski, nie przekonywa w kraju mniej, niż jego ojczyzna, neutralnym, w którym panuje nie chaos, a coraz jaśniejsza i wyraźniejsza** linia podziału między sprzecznymi siłami społeczno-politycznymi. W tej chwili wyrabiać w młodzieży ducha służby, kontemplację estetyczną i stawiać przed nauczycielem zadanie „spełniania aktu obecności człowieczeństwa" — to znaczy chyba być na księżycu.

Dobrze, że Szwajcaria z katedrą pedagogiki w Lozannie jest dość daleko. Źle, że dobre pismo w Toruniu ogłasza obce brednie.

Paulina Czyżowa

Urojone niepokoje

Ksawery Piwocki w posłowiu do swojego artykuliku „Kultura i forma", drukowanego w noworocznym numerze **„Nowin Literackich"**, prosi czytelnika, by tego co napisał nie brać zbyt dosłownie, ponieważ: „sens tej pisaniny nie tkwi w tych kilku uproszczonych sformułowaniach, ale ma symbolizować niepokoje i nadzieje, nurtujące pokolenie, któremu warunki życia nie pozwalają na pisanie i obmyślanie długich, wszechstronnie uzasadnionych syntez".

Po dokładnym przeczytaniu artykuliku czytelnik rzeczywiście musi autorowi przyznać, że należy on do kręgu ludzi, którym osobiste warunki życia nie pozwalają na pisanie „uzasadnionych syntez" na temat zagadnień kultury, ba! sumienny czytelnik „aforystycznych charakterystyk rozsianych na szpaltach niedługiego artykuliku" gotów posunąć się nawet dalej i stwierdzić, że warunki te muszą być na tyle niepomyślne, że nawet odbierają Ksaweremu Piwockiemu możność wiązania swoich myśli w jakąś logiczną całość. Czyżby to jednak było właściwością aż całego pokolenia? Jesteśmy skłonni przypuszczać, że jest to raczej wypadek jednostkowy.

Wycofując się więc za radą autora z chęci zrozumienia „splecionych ze sobą myśli" przypatrzmy się temu, co **symbolizują** jego „niepokoje i nadzieje".

Ksawery Piwocki wyraża żal, że „epoka nasza podporządkowała także sztukę prawidłom racjonalizmu. Wszystkie współczesne kierunki plastyki chorują na ten przerost intelektu, forma jest robiona programowo, zgodnie z wypracowanymi mozolnie manifestami... **A sztuka jest płodem uczucia nie intelektu** (podkreślenie nasze) i tylko do uczucia przemawia szeroko i zrozumiale. Jedynie też taka sztuka może liczyć naprawdę na szerokie zamówienie społeczne i naprawdę staje się społecznie niezastąpiona".

W świetle przedwojennych rozważań Ksawerego Piwockiego nad zagadnieniami sztuki zrozumiała jest dzisiaj jego niechęć do intelektualizacji sztuki, do respektowania w niej „prawideł racjonalizmu". Autor w swych dociekaniach — jak mówi Stelmachowska Bożena — za punkt wyjścia brał **moment psychologiczny**, podchodził do sztuki od strony artysty („Na drodze do teorii sztuki ludowej" — **Lud**, Lublin 1946).

Ta postawa badacza nie jest wyrazem tendencji, nurtujących dzisiejsze pokolenie, które chce kształtować rzeczywistość kulturalną, pokolenie to chce nie tylko świadomie kierować gospodarką ale także i życiem kulturalnym narodu; nie podziela ono obaw p. Ksawerego Piwockiego jakoby sztuce naszej zagrażał przerost intelektu.

W samej konstrukcji artykułu „Kultura i forma" manifestuje się niechęć do przestrzegania postawy intelektualnej, niechęć do respektowania „prawideł racjonalizmu". autor w budowaniu swoich przesłanek posługuje się metodą **luźnych skojarzeń —** jest rzeczywiście konsekwentny, gdyż w ten sposób broni się przeciwko inwazji intelektu, w ten sposób przygotowuje grunt dla wyznawanego przez siebie hasła, „że sztuka jest płodem uczucia". Dlaczego to wszystko wyrażone jest na łamach **„Nowin Literackich"** trudno nam dociec: czyżby w irracjonaliźmie Piwockiego szukano na początku nowego roku wytycznych dla nowej polityki kulturalnej pisma?

A co Csato na to?

Józef Kościelniak

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.—zł, kwartalnie 120.—zł, półrocznie 240.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—024217